ŁOWIEC POLSKI



ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 6 (949) Listopad-Grudzień 1947 Cena zł 35

DO KOLEGÓW
ŁOWCZYCH POWIATOWYCH

Uchwałą Walnego Zgromadzenia Członków Polskiego Związku Łowieckiego z dn. 26 października r. b. postanowiono, w związku z ogólnym podrożeniem kosztów, podwyższyć składki członkowskie: normalną do 1000 zł., a ulgową (dla leśników wszystkich stopni, funkcjonarjuszów U. B. i M. O., oraz słuchaczów Szkół Wyższych) — do 600 zł. rocznie, a wzamian, organ Związku „ŁOWIEC POLSKI", postanowiono wydawać jako miesięcznik, ukazujący się regularnie 12 razy w roku. Równocześnie zadecydowano wysyłkę pisma dokonywać indywidualnie wszystkim członkom Związku bezpośrednio przez Administrację „Łowca Polskiego".

Aby jednak duża praca wysyłania co miesiąc 25 tysięcy egzemplarzy według adreósw indywidualnych nie poszła na marne, nie może się powtórzyć ta niedokładność adresów nam przesyłanych, która sprawiała. że w 1946-ym roku z każdej wysyłki kolejnego zeszytu „Łowca Polskiego" poczta zwracała nam około 20% z powodu nieodnalezienia adresata. Ta właśnie okoliczność była powodem wprowadzenia w 1947 roku systemu wysyłki za pośrednictwem Łowczych Powiatowych — który jednak także zawiódł.

Zwalniając obecnie organizacje terenowe od tej dodatkowej pracy, Redakcja i Administracja „Łowca Polskiego" zwracają się do Kolegów - Łowczych Powiatowych z gorącą prośbą o przyjście nam z pomocą w poważnym zadaniu — regularnego zaopatrzenia członków P.Z.Ł. w nasz organ prasowy — jedyne źródło informacji łowieckich, opracowań fachowych i artykułów beletrystycznych.

Pomoc ta wyrazić się może i powinna, przede wszystkim, w regularnym sporządzeniu i jaknajrychlejszym dostarczeniu Redakcji **dokładnych adresów członków z terenu swego powiatu.** Adresy te prosimy dostarczać nam — w miarę napływu składek — bezpośrednio, bez pośrednictwa Rad Wojewódzkich, aby przyśpieszyć ich otrzymanie i uchronić od błędów przy powtórnym przepisywaniu.

Drugim momentem, sprzyjającym regularnemu zaopatrzeniu członków P. Z. Ł. w „Łowiec Polski", powinno być domaganie się od nich **wpłacania składek członkowskich** możliwie najwcześniej, a więc z początkiem roku, a w każdym razie nie później niż w pierwszym kwartale, t. j. do dnia 31 marca, gdyż tylko w tym wypadku ustalona być może wysokość nakładu pisma, przystosowana do istotnego stanu liczbowego członków. A ilostan ten może właśnie w 1948 roku ulec zmianom w zależności od podwyższenia opłat członkowskich. Dla informacji podajemy, iż z wymienionych na wstępie opłat członkowskich ma być na wydawnictwo „Łowca Polskiego" odliczana stała kwota po 400 zł. od członka, zaś pozostała część składek (600 wzgl. 200 zł.), przeznaczona na cele organizacyjne Związku, podlega podziałowi w stosunku: 25% na Centralę P. Z. Ł., 25% na Rady Wojewódzkie i 50% — na Rady Powiatowe.

Na uwzględnienie naszej prośby i na zrozumienie przez Kolegów konieczności ścisłej współpracy w tym zawresie, pozwalamy sobie liczyć z całym zaufaniem.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
„ŁOWCA POLSKIEGO"

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 6 (949) 1 9 4 7 Listopad-Grudzień



„Św. Hubert". z obrazu.

XAWERY LAWOK

ŚW. HUBERT JULIUSZA POURBAIX

Powinienem był właściwie napisać doktora, inżyniera Juliusza, ale o naukowych tytułach pana Pourbaix, i to nie byle jakich zresztą tytułach, dowiedziałem się dopiero później, już po zakończeniu całej tragedii. Tragedii? Nie wiem czy ten ostatni wyraz użyty jest prawidłowo. Bowiem w czwartym roku okupacji niemieckiej w Warszawie nie zdarzały się tragedie, ciekło jedynie, z dnia na dzień, tysiączkiem strumyków zwyczajne, albo też uznane już za zwyczajne życie.

Parę łachmanów ludzkich poszarpanych kulami pod spalonym murem, czy czarna torba listonosza z pakietem różowych kartek, krzyczących o oświęcimskiej śmierci na zapalenie płuc w krematorium, czy też brązowe, narastające kłębami i gaszące słońce dymy z nad ghetta, to były wszystko rzeczy, zdawałoby się, najzupełniej powszednie i nierozerwalnie związane z istnieniem ludzkim, tak naturalne i proste jak przedranny wiatr, pierwsza miłość, czy nadchodząca zima.

Doktora Pourbaix od pierwszych dni okupacji znałem dobrze z widzenia. Tak przyzwyczaiłem się do jego zlekka pochylonej, długiej postaci, szlachetnej, siwej, odkrytej do późnej jesieni bez kapelusza, głowy oraz mocno wytartej lodenowej peleryny, że w końcu, sam nie wiem dlaczego, zacząłem mu się kłaniać. Doktór odwzajemniał mi się zawsze takim samym, nieodmiennie dystyngowanym pochyleniem głowy i pełnym wdzięku uśmiechem. Słowa jednak nie zamieniliśmy jakoś ze sobą nigdy, choć mieszkaliśmy na jednej i tej samej ulicy i choć na zawarcie tej znajomości miałem prawdziwą ochotę. Odnosiłem też wrażenie, że zawsze prawie samotny, starszy pan, chętnie rozgadałby się ze mną. Bo tak często przecież wracaliśmy jednocześnie, ja z biura, a on z którejś ze swoich niekończących się przechadzek i brnęliśmy pospołu jeden za drugim po błotnistych chodnikach Saskiej Kępy od mostu aż na ulicę Bohaterów.

Ale takie już panowały w Warszawie niepisane, przedwojenne, ciągle te same zwyczaje, że ludzie, którzy nie przedstawili się sobie, rozmawiać ze sobą nie śmieli. Doktór nie uścisnął przecież mojej ręki z cichym słowem:

— Pube!

A ja nie bąknąłem:

— ...ski!

Niezależnie od powyższego, ludzie mieszkający w bliskim sąsiedztwie wiedzą o sobie prawie wszystko, szczególnie na takiej zabudowanej piętrowymi willami rozrzutnie i szeroko, prawie wielkomiejskiej i trochę prowincjonalnej, uliczce.

Doktór Pourbaix mieszkał naprzeciwko mojego mieszkania, ot nieco na lewo, pod numerem 34-tym.

Przez szerokie okno choćby i niechcąc, musiałem więc patrzeć codziennie na szaro niebieski, pudełkowaty domek, który całkowicie od futryny do futryny zamykał widok z mego pokoju na świat.

Zresztą na fronton tej kamieniczki nie tylko musiałem, ale często i chciałem się patrzeć, powodem zaś był, szczerze mówiąc, nie tylko pan Juliusz. To też wzrok mój, choć często wędrujący na pierwsze piętro, gdzie za szybami przesuwała się wysoka sylwetka doktora Pourbaix, częściej, tak, dużo częściej, zatrzymywał się na parterze, na małym oszklonym ganeczku, na schodkach do ogródka i wreszcie na drobnej, zgrabnej figurce kobiecej.

Zgrabna ta figurka odziana była przeważnie w tabaczkowo zielony kostium tailleur i nosiła charakterystycznie, hardo odrzuconą głowę do tyłu, jakby z powodu ogromnej wewnętrznej dumy, albo wielkiego i zbyt ciążącego węzła kasztanowatych włosów.

Właściwie jest to najzupełniej inna historia. Ale nurt dziejowy, który nas wszystkich porwał wtedy i niósł, znał tylko jeden los i jedną historię dla wszystkich. To też opowiadając dzieje doktora Juliusza, muszę równolegle mówić i o pannie Staszelisównie, choć czasem wolałbym o tym nie myśleć, nie pamiętać i nie wspominać.

Sąsiedzi wiedzą dużo o sobie, a raczej może więcej myślą, że wiedzą, niż wiedzą. W każdym razie mnie zdawało się, że mam doskonałe informacje o ludziach z naprzeciwka, bo to raz dozorca, dwa mleczarka, a trzy czternastu lokatorów naszego domu i jedna, wspólna godzina policyjna.

Wiedziałem jednak, że doktór, inżynier Juliusz Pourbaix, był jednym z modernizatorów kolei transsyberyjskiej, twórcą drogi żelaznej Kapstadt — Orania, potym wielu innych torów i mostów w różnych stronach świata. Wiedziałem też, że ostatnio pełnił on funkcję dyrektora jednej z kresowych dyrekcyj P. K. P. Z chwilą wybuchu wojny, wycofał się doktór z pracy w kolejnictwie bez reszty i pędził obecnie ciężki żywot bezrobotnego inteligenta-uchodźcy.

— Bogaty to on był, panie szanowny, przed okupacją — mówił dozorca Koszarek — jak nieprzymierzając sam pan Haberbusch.

— A teraz chudzina, choć gosposię odprawił i samotnie, niby ten palec, mieszka — informowała mnie, nie pytana zresztą mleczarka Stopkowa z Wiązowny — to porzundek po pokojach trzyma, niby nie przymierzając sama pani rejentowa Starobłocka w mieście Garwolinie.

O pozostałych lokatorach, zamieszkujących parter przy ulicy Bohaterów 34, rozkrzyczała się cała załoga naszego domu, a raczej jej część piękniejsza, podczas jednego z przymusowych bridge'ów, które, po przesunięciu szpery godzinowej na dziewiętnastą, stały się codzienną i coraz nudniejszą koniecznością. Moje niekompletne, jak się okazało, informacje od dozorcy i mleczarki zostały więc tego dnia poważnie uzupełnione. Rozmowa, która tą garść szczegółów dorzuciła, wyglądała mniej więcej następująco:

— Na pewno! Trzy trefle — dolatuje do moich uszu głos mecenasowej Szamotulskiej.

— Niemożliwe? Kontra — zaprzecza, czerwieniąc się jak zawsze, mocno starszawa panna Lucius.

— Ostatnio nie pokazuje się przecież zupełnie w kostiumie — wtrąca złośliwie pani Giga, ukrywająca się już pod trzecim nazwiskiem, którego ani rusz nie mogę zapamiętać — chodzi teraz stale w pelisie.

— A pan co na to, konsyliarzu — pyta mecenasową czwartego partnera, ginekologa Walerego.

— Ja trzy piki!

— Ale ja się pytam o pannę Staszelis?

— Nic nie rozumiem. Trzy piki!

— No, o Irenkę Staszelisównę.

— Tajemnica lekarska.

— Dla kogoś, co ma oczy, to żadna tajemnica — rzuca pani Giga.

— Panie Walery?

— No więc dobrze, już powiem, tylko warunek, dość gadania, gramy.

— Dobrze. Dobrze.

— Była u mnie, jest w ciąży. Piąty, szósty miesiąc — lekarz rzuca to z takim tonem, że nie wiadomo: kpi, czy mówi serio, potym macha ręką bez większego zainteresowania całą sprawą i mówi. — Powtarzam trzy piki!

— Widzisz, no widzisz — tryumfuje mecenasowa.

— Ale przecież ona mieszka z bratem — odpowiada panna Lucius i robi się po niewczasie purpurowo sina.

— Taki to pewno i brat. Zresztą przystojny chłopiec — parska śmiechem pani Giga.

— Trzy piki!! — ryczy zdenerwowany już doktór Walery.

— Co tam takiego mówicie o Staszelisównie — wtrąca się nagle do rozmowy, głuchawy rządca domu, Sypek.

— Że może jej to zaszkodzić w pracy — wyjaśnia spokojnie mecenasowa Szamotulska.

Gwar milknie. Wszyscy wiemy przecież dobrze, że „Biuletyn" przychodzi z tamtej strony ulicy, ale poco o tym przypominać, poco uroczyć, poco...

Karty padają z szelestem na stół.

Gracze zwarzeni ostatnim niepotrzebnym fragmentem rozmowy mówią teraz szeptem. Parę osób wynosi się bezszelestnie, pewno palić scho-

wane gdzieś po szufladach gazetki, które dziś zapeszone, mogą przynieść nieszczęście. Zapada cisza, tylko na piętrze jak zawsze gra Szopena, ciężko chory na płuca muzyk Cieślik.

Podchodzę do okna. Na dworze panuje już półmrok. Z dalekiej perspektywy ulicy wieje zupełną pustką — „Polizeistunde".

Pod 34-ym na piętrze, przez środek obu szarostalowych odbiciem wieczornego nieba szybek okiennych, wędruje czerwony punkcik żarzącego się papierosa. Wędruje, jak wahadło zegara, tam i z powrotem i znowu i ciągle. Pan Pourbaix kontynuuje po pokoju swą bezkresną przechadzkę.

Na parterze u Staszelisów okna są gruntownie i dokładnie zaciemnione, na jasnym tle muru czernieją matowo, bezbarwnie, jak wywołana a prześwietlona klisza fotograficzna, lub niewidzące, ociemniałe oczy.

Mieszkańcy śpią, wyszli, może pracują. Skąd można wiedzieć.

*

Ranek wstał chłodny, trochę mglisty, zdawało się, że za chwilę rozpada się nadobre, kiedy jednak ruszyłem w codzienną drogę do biura, w siwych obłokach wysoko i daleko nad głową otworzyło się niebieskie okienko. A kiedy po zniszczonych schodkach wdrapałem się na Wał Miedzeszyński, niebo przecierało się już pięknie wokoło.

Mgły biły w ziemię, odsłaniając sylwetki domów na Skarpie i śmiałe łuki przęseł mostu Poniatowskiego. Pociągał coraz silniejszy wiatr, aż fala na Wiśle zaczęła łamać się drobną, krótką, zieloną łuską. Potym zlekka przyćmione, zabłysło słońce. Liście na kilku wiekowych, ocalałych z pogromu wojennego, topolach, zadrgały rudawym złotem, a zagubiona w małym ogródku płacząca brzoza potrząsnęła czupurnie cytrynowo żółtymi warkoczami.

Bezwolnie zatrzymuję się przy balustradzie. Wzrok wędruje ponad dachami Powiśla, poprzez kościół na Solcu, wzdłuż płaskiego brzegu Siekierek, aż ku dalekiej sinawej smudze drzew w Marysinie i Wilanowie.

Marysin, 3 listopad. Dzień Świętego Huberta, jak dzisiaj.

Marysin. Pędzenie w wiklinowych remizach bażancich. Czerwone i złote, zielono-głowe koguty, licytują się o lepsze w fantazji i układzie barw z liśćmi jesiennych drzew koloru purpury, szafranu i śniedzi.

Kiedy to było — lat temu cztery czy sto? Czy może jeszcze dawniej? Czy może nigdy?

— Radzę panie Tadeuszu zwrócić teraz baczniejszą uwagę raczej na północ, na most — odzywa się za mną świeży, kobiecy głos.

A męski, niski, o zaciągającym lekko kresowym akcencie, dodaje:

— Rozumiem, że dziś zarówno pogoda, jak i data ciągną myśliwego specjalnie do lasu czy w pole, ale niestety...

Podajemy sobie rękę z panem Pourbaix krótko i mocno. Całuję delikatnie dłoń panny Ireny. Wydaje mi się przy tym, że znam ich oboje od dawna. Zresztą oni nie prezentują się, więc i ja nie wymieniam swego nazwiska, tylko pytam z miejsca, po prostu:

— Łapanka, panno Ireno?

— I jeszcze jaka. Francuską już obstawiają. Trzeba wracać.

— No, to wracajmy, panie doktorze.

Zbiegamy znów po połamanych schodkach w dół.

Jakżesz wdzięczne i naturalne ma ruchy panna Irenka! Plotek wczorajszych jakoś nie znać na niej, no może troszeczkę przypomina o nich luźne sportowe palto. Miałaby więc mieć pani Olga rację? Zresztą, co to ma do rzeczy.

Ulica Bohaterów jest jakby wymieciona z przechodniów, wymarła. Tu i tam sterczy pojedyńczy człowiek przy drzwiach, niby wartownik przed koszarami.

Nieprzyjemnie głośno, jakby w czasie głębokiej nocy, stukają nasze kroki na betonowym chodniku, głosem podobnym do kastanietów wybijają takt wysokie, drewniane obcasiki panny Staszelis.

— Ściska dziś każdego myśliwego za serce tęsknota, co? — zaczyna pan Pourbaix.

— A skąd pan wie, że ja jestem myśliwym? — dziwię się.

Doktór Juliusz uśmiecha się.

— A od czegóż zamieszkuje na ulicy Bohaterów dozorca Koszarek, od czegóż żyję na świecie pani Stopkowa z Wiązowny...

— I cóż zresztą mamy robić w naszej chałupce, od siódmej wieczór do północy, jak nie plotkować, przecież nawet bridge'a nie ma — dodaje melancholijnie panna Irena.

Jednocześnie doktór zaczyna mówić.

— Święty Hubert. 3 listopad. Tak, 3 listopad 1909 roku. Buduję most kolejowy na rzece Terek w Siedmiogrodzie. Jedno przęsło ma 157 metrów rozpiętości, a wysokość od lustra wody... et, nie to chciałem panu opowiedzieć. Na Huberta prosi mnie więc żupan Aponyi, będziemy polować na niedźwiedzie z obławą.

Pierwszy miot, stoję tuż pod samym świerkowym zagajem, gęstym jak szczotka, zbitym niczym filc. Pod nogami teren mam płaski, wygodny, ale zaraz dalej zalesiony, ciemny stok pnie się ku górze, ucieka wysoko. Blisko tuż przed stanowiskiem rozbiegają się półgwiaździście w głąb ostępu trzy przecinki.

Obława chodzi w górach przeraźliwie wolno, godzinami. Czekam zatym spokojnie i cierpliwie. Czekam długo. Nagle nawprost zaczynają się świerczki ruszać, rozsuwać, roztwierać. Zwierz jakiś poważny pruje przed sobą zagaj jak wodę. Jest coraz bliżej, wychyli się za chwilę na przecinkę. Jeszcze sekunda, dłuższego niż dotąd godziny, oczekiwania... i niczem rozpędzony z gór głaz wyjeżdża na wąską linijkę ogromny, zwinny i szybki brunatny zwierz.

Miałem wtedy repetier Manlichera, szóstkę, z tej pierwszej edycji Schönhauerów. Składny

był to sztucer i wstrzelany, och jakiż składny. Mam go... Miałem go do samej wojny.

Sztucer był więc tak składny, że choć niedźwiedź szedł w błyskawicznych skokach, jak elastyczna i puchata piłka, strzeliłem zdaje się dobrze. na komorę, bo miś zamarkotał utknięciem i głośnym pomrukiem. Dalej w gąszczach nic już jednak nie widać, pilnuję zatym przecinki na lewo, tam powinien się pokazać, jeżeli jeszcze nie leży. Przez chwilę panuje cisza i spokój, a potym znów zaczyna się charakterystyczny ruch rozchylanych drzewek. Niedźwiedź zmyka teraz pod górkę, wraca w głąb kniei, ale uciekając musi się jeszcze pokazać na linii, trochę z ukosa. Będę miał zatem więcej czasu do chwycenia go na muszkę.

Już jest. Wyskakuje na dukt. Ależ ogromny, po prostu machina.

Pada strzał. Jednocześnie zwierz leci koziołkiem przez łeb. I leży.

Mówię panu, kapitalna sztuka. Od nosa do zadu miś mierzył 1 metr 89 centymetrów długości. Kiedy zaczynam oglądać niedźwiedzia z bliska, stwierdzam ze zdziwieniem, że ma on w sobie tylko jedną kulę.

Zatrzymaliśmy się przed furteczką kutą w esy-floresy, prowadzącą do ogródka domu numer 34-ry.

— Nie proszę pana na górę, bo mogą być rewizje po mieszkaniach.

— Ale tu możemy jeszcze chwileczkę porozmawiać.

— Doskonale, zresztą chcę skończyć moje opowiadanie.

Panna Staszelis popatrzyła kolejno wgłąb każdej z trzech, schodzących się w tym miejscu ulic.

— Podobnie, ale jakże inaczej wpatrywać się musiał przed 40 laty doktór Pourbaix w rozbiegające się od jego stanowiska trzy przecinki — przelatuje mi przez głowę.

Pan Juliusz musiał dostrzec mój wędrujący wzrok i zrozumieć ostatnią myśl, gdyż powiedział:

— Zdaje się, iż nie należy odgrzebywać dzisiaj wspomnień Hubertowych z pamięci, bo mamy i tak, jak przystało na 3 listopada, drapieżną, choć całkowicie inną rzeczywistość łowiecką. Polują na nas.

— Możecie jeszcze sobie pogadać — decyduje ostatecznie po zlustrowaniu terenu panna Irena.

— Dodam jeszcze parę słów. Niedźwiedź, jak zaznaczyłem już, kulę otrzymał tylko jedną, co zdziwiło mnie serdecznie, byłem bowiem zupełnie pewien pierwszego strzału. Ruszamy zatem z leśnikiem na środkową przecinkę. Na linii znajduję wyraźne ślady przechodu misia, widać wyrwaną potężnymi łapami w biegu darń i świeżą, czarną ziemię. Leśnik schyla się, patrzy na trop i zdziwiony mówi: — „Jest zestrzał".

Schylam się wtedy i ja nad śladem. Tak, kłaczki futra mówią wyraźnie o dobrej kuli.

— A tam „farba"! — woła nagle leśnik.

Podnoszę wzrok, prowadzę oczami po śladzie, rzeczywiście są czerwone jagody krwi na gałęziach i na trawie, patrzę dalej... leży w świerczkach okara, mówię panu, potwór, 2 metry 7 centymetrów długości skóra. Pierwszy mój w życiu niedźwiedź zabity w dublecie.

Królewskie to było wogóle polowanie, padło bowiem 5 niedźwiedzi i 11 dzików. Ja tego szczęśliwego dnia zabiłem jeszcze niezgorszego odyńca.

— Nie mógłbym się panu zrewanżować opowieścią choćby w części tak barwną i emocjonującą, wszystkie moje wspomnienia wypadłyby zbyt blado.

— Myli się pan, żadne ze wspomnień myśliwskich nie jest blade i bezbarwne. Małem w życiu większość na oko zwyczajnych przeżyć, ot naprzykład też 3 listopada w Nowogrodzkiej guberni. Zdawałoby się, najzwyczajniejsza łowiecka przygoda. Rok był 98, nie, 99-ty. Odbywałem wtedy praktykę na siedemnastym odcinku syberyjskiej kolei w Rabym Ostrowie. Dozorca Zubow miał niezrównaną łajkę...

W Bytomską skręciła buda. — Rozejść się — zakomenderowała nagle panna Staszelis.

Nie żegnając się, przebiegłem szybko przez jezdnię na drugą stronę ulicy. Kiedy brałem już za klamkę przy drzwiach wejściowych mimowoli, bezwiednie obejrzałem się.

Pana Pourbaix nie było już widać na schodkach. Panna Irena stała jeszcze przed domem i wypatrywała czujnie w kierunku hałasucej motorem ciężarówki. Potym odwróciła się i wtedy musiała dostrzec moją sylwetkę w sionce naprzeciwko, gdyż zatrzepotała wdzięcznie ręką na dowidzenia i zniknęła na oszklonym ganeczku.

Nie wiedziałem wtedy, że nie zobaczę jej już nigdy więcej. Nie przypuszczałem też, że spotkanie z doktorem Pourbaix było pierwszym i ostatnim w życiu.

*

Tak byłem już otrzaskany i przyzwyczajony do łapanek, rewizyj i blokad, że po dość pobieżnym sprawdzeniu, czy przypadkowo zabłąkany „Biuletyn" nie leży gdzieś na zabardzo widocznym miejscu, zabrałem się ze spokojem do XIII rozdziału rozpoczętych przed rokiem wspomnień.

Pisałem już dobrą godzinę, tworzenie rozgrzewało krew jak absynt, myśl biegła szybciej i szybciej i wyprzedzała sprawność trzymającej pióro ręki. Pracowało mi się coraz lepiej, to też zapomniałem o niedawnej rozmowie, blokadzie Saskiej Kępy i wogóle o całym Bożym świecie.

O lekkim już zmroku niespodziewanie, jak ostrze wąskiej, długiej igły, wbija mi się jednocześnie w ucho i w kręgosłup skowyt zastopowanego na miejscu samochodu. Na siatkówce oczu odbija się obraz zielonego, policyjnego auta, które gwałtownie zahamowane przysiada na resorach i posuwa się jeszcze bezwładnym

ruchem pół kroku naprzód. Z odwłoka maszyny wyskakuje jednocześnie kilku żandarmów i esesmanów.

Znajomym głosem skrzypi misternie kuta furteczka pod 34-ym.

To znaczy idą tam...

Tupoczą podkute żołnierskie buty, oficer ryczy gardłowym głosem rozkazy. Jak zahypnotyzowany bez ruchu patrzę i słucham.

W chwili, kiedy pierwsi żandarmi wbiegają na znajome schodki, niby krzyk dartego płótna przecina powietrze jedna i druga seria ze Stena. Dwóch biegnących niemców pada bezwładnym ruchem na ziemię, kilku kładzie się plackiem, szukając ochrony za niskim płotkiem, inni przywarowują pod samą ścianą domu i wyciągają z za pasa granaty.

Jednocześnie zielony Mercedes, jakby pchnięty ostrogą, zrywa się na pełnym, do deski gazie i rusza naprzód, hucząc pierwszym biegiem, niby pikujący z chmur samolot.

Znów seria z automatycznego pistoletu.

Kule strzępią maskę, sypie się śnieżna kasza z nietłuczących się szyb w szoferce. Auto zatacza się gwałtownie, skręca, zarzuca, przeskakuje krawężnik chodnika i wreszcie z łoskotem uderza o wykładany klinkierem płot. Po tym powoli pochyla się, przewraca na bok i płonie.

Jeden, drugi szarpiący uszy wybuch, jasność i pomarańczowy ogień.

Wgniecione podmuchem lecą mi z weneckiego okna odłamki szyb na głowę, aż zasłaniam oczy rękami.

Jednocześnie na schodach naszego domu zaczyna się niespokojny ruch i gwar. Na dół, na górę, z powrotem. Potym wpada zadyszany dozorca Koszarek.

— Mężczyźni chodu, ale już!

Znanymi tylko wtajemniczonym mieszkańcom Saskiej Kępy dróżkami, zamaskowanymi dziurami w płotach, przechodami przez piwnice, ogrodami, przełazami poprzez betonowe kręgi burzowców, wydostajemy się daleko, aż za Zwycięzców do znajomej meliny — szklarni. Po drodze jest trochę kłopotów z naszym grubym ginekologiem Walerym, ale popychając go i ciągnąc, przebrnęliśmy jakoś szczęśliwie przez wąskie i niskie korytarze i otwory. Sprzyjał nam poza tym zmierzch przedwieczorny, sprzyjała balustrada, po której, niedochodząc do nas, zrykoszetowały chichoczące kule z żandarmskiego „empi".

Zziajani, wypoczywaliśmy w sześciu pod białym murem oranżerii. Pan Walery sapał jak miech. Chory na gruźlicę muzyk Cieślik pluł bez przerwy w coraz krwawszą chusteczkę. Stary rządca, Sypek, leżał na mokrawej ziemi bez ruchu, świszcząc ciężkim oddechem. Koszarek i nieznajomy mężczyzna, trzymali się dobrze.

A ja...

Walące w piersiach ze zmęczenia jak młot serce, zamiast uspakajać się i cichnąć, zaczęło łomotać coraz rozpaczliwiej, niczym dzwon na trwogę.

Bowiem w stronie, z której przybiegliśmy, tam na skrzyżowaniu ulic Bohaterów i Bytomskiej, rozgorzała prawdziwa bitwa; ujadały automaty, trzaskały pojedyńcze strzały karabinowe, pękały gromem ręczne granaty.

Widać tamci nie zdołali się wycofać. Widocznie mieszkanie Staszelisów było nie tylko miejscem kolportażowym „Biuletynów". Widocznie. Ech...

Dzień przygasa. Strzelanina przybiera na sile. Nad dachami wstaje złota, to znów purpurowa luminoza.

Nie ma już na co czekać, nie zwłócząc decyduję więc ruszać naokoło polami w stronę Grochowa. Godzina policyjna jest już niedaleko. Przed nocą trzeba się zamelinować w najbliższym, znajomym punkcie.

✱

Brudny, wczesny, listopadowy śnieg przykrył z samego rana jezdnię na ulicy Dobrowoja. Mokre, ukośnie lecące, wielkie płatki zasłaniały szarą kotarą widok na nieporządnie rozrzucone, z czerwonej cegły, nietynkowane domki, w tej zapomnianej dzielnicy Grochowa, kiedy to znajoma mleczarka z Wiązowny zastukała do mego małego, sublokatorskiego pokoiku.

— Niech będzie pochwalony. Cóż to pan gniecie się po cudzych kątach?

— Tak lepiej, pani Stopkowa.

— Wcale nie lepiej. Dozorca Koszarek od dwóch dni szuka już pana po całej Pradze. Bo wszyscy po staremu na Bohaterów mieszkają, a pan Cieślik z powrotem całymi dniami na pianinie przygrywa. A znów pan rzundca Sypek tak się ganianiem zmordował i zimnem od ziemi przejął, że świeć Panie nad jego... na Bródno się przejechał.

— Tak. Tak. A tamci... z naprzeciwka?...

— At — machnęła Stopkowa ręką — sprowadzili szkopy wczoraj wóz meblowy i co lepsze graty załadowali. A maszyny drukarskie to znów na ciężarówkie ekstra zabrali.

Drukarnia. To dlatego się tak zażarcie bronili! Drukarnia. Dlatego tak szczelnie były zawsze zasłonięte okna. Drukarnia...

Ciężar jakiś niewidoczny zsunął mi się na ramiona, przygniótł je, przytłoczył. Ręka bezwiednie, odruchowo zaczęła głaskać brzeg stolika.

— No, niech pan wraca spokojnie na noc do chałupy — zakończyła wizytę pani Stopkowa — pochwalony.

✱

Wierna encyklopedia i żywa gazetka codzienna naszej dzielnicy i ulicy, czyli dozorca Koszarek, zachwycony, że może komuś powtórzyć raz jeszcze historię, od której słuchania wszyscy już uciekali, zaczął, jako wspaniały narator, opowiadać od samego początku, szczegół po szczególe, epizod po epizodzie.

Słuchałem słów Koszarka chciwie i pilnie. W miarę jednak opowiadania, słowa nabierały coraz twardszego brzmienia, zdania układały się coraz straszliwiej, a całość dusiła jak zmo-

ra. Zaczęło mi się zdawać, że wędruję po coraz bardziej stromych i ciaśniejszych sztolniach czarnej, opuszczonej kopalni. Czułem wyraźnie jak ściany zwężają się tam bokami, sklepienia grożą przywaleniem. Brakuje tchu w piersiach... Och...

Głos mówiącego dozorcy zamazuje się, jakby za mgłą, sens za to krzyczy przeraźliwie jasno i coraz zrozumialej i głośniej.

— I wtedy, panie szanowny, doktór Purbe zaczął strzelać. Musiał tam mieć gdzieś zamelinowaną flintę. Potym zresztą to widziałem, nawet schowanko w drzwiowej futrynie. Dobry mistrz stolarski musiał je robić, pewno Ziętarek z Francuskiej. A że mroczno już było, więc pan doktór strzelał przez taką długą lupę — a strzelał pirwszorzędnie. Sławny to musiał być myśliwy. Jednego feldfebla to aż na Francuskiej przyuważył. A co szkopów tu na ulicy nakładł. Ajej!

— Haratanina skoczyła się, panie szanowny, dopiero koło godziny ósmej, jak tylko żandarmom przyjechała na pomoc pancerka. Parę kulek z działka i było już po wszystkiemu. Potem Niemcy wywlekli zabitych za nogi i prask kużdego na otwartą ciężarówkie. Ten młody był całkiem postrzępiony pociskami, a pan doktór to dostał kulę w samo czoło. A znowu pani Irena, bo Staszelis to był jej mąż i nazywał się naprawdę Turbowicz. Pani Irena dychała jeszcze troszkę. Bo jak to kobita do szkopów strzelała nienajzgorzej, a sobie ostatnią kulę wcelowała jakoś kiepsko, po boku. Więc jak ją na schodki wytaszczyli, to ciut ciut głowę od ziemi podniosła. Jeden esman zobaczył to i wtedy zaczęli ją tak długo kopać w brzuch, aż głowa pani Ireny stuknęła z powrotem o chodnik.

Teraz zdaje mi się czarny, wąski korytarz, którym wędrowałem, urywa się niespodzianie i lecę w bezdenny, gęsty od zmroku szyb. Lepka, świszcząca ciemność, biegnie ku mnie coraz prędzej, aż pęd dzwoni w uszach coraz wyższą, śpiewniejszą nutę.

— Tak, kopali ją w brzuch, dzieciaczkowi też darować nie chcieli. Bo pan szanowny wie przecież...

*

Harda, z wdziękiem odrzucona główka, obcisły kostium i zbyt luźna pelisa... I ta drobinka ludzka, która miała się nigdy nie urodzić.

Znów piszę o tym, o czym pisać i myśleć nie chciałem, ale trudno. Jedna historia z drugą splotły się tak nierozerwalnie, jak ciężki węzeł mocno skręconych kasztanowatych włosów.

Jakżeż ciężko i trudno było mi żyć wtedy.

*

Następnego dnia wybrałem się pod 34-ty.

— Niech pan lepiej nie chodzi, dom może być pod obserwacją.

Ostrzeżenie pani Gigi, choć ze wszech miar słuszne, puściłem mimo uszu i poszedłem.

Dom wewnątrz przedstawiał się jak jedno wielkie rumowisko. Okna bez szyb, a niektóre bez szprosów i ram były nadpalone, potrzaskane, ściany popstrzone śladami kul i odprysków granatnich, posadzka wzdęta od wilgoci i splamiona. Wiatr pociągał środkiem domu bezkarnie i swobodnie; mroźny, zatęchły i przykry

Stosunkowo najlepiej zachował się gabinet pana Pourbaix na pierwszym piętrze. Wybebeszony fotel kulał w kącie, jak kiedyś, a stare, piękne, orzechowe biurko, choć posiekane kulami, stało też na swoim dawnym miejscu. Zawartość szuflad powyrzucano na podłogę, po papierach, listach i dokumentach musiałem poprostu brodzić, żeby dojść do okna.

Na parapecie okiennym i na podeście balkonu pozostały resztki zaimprowizowanych strzelnic doktora Pourbaix, podziurawiony kulami wałek od tapczana i parokilowy woreczek z zaróżowionym krwią cukrem we środku i wyraźnym wgłębieniem, odciśniętym przez lufę.

Misternie skonstruowany schowek w okładzinie futryny drzwiowej, wyrwany był i potrzaskany.

Raz jeszcze i drugi przerzucam nogą zmierzwione papierzyska. Pod wachlarzem rozrzuconych, jak talia kart, seledynowych kopert z adresami, wypisanymi jedną i tą samą ręką, leży duży album. Jest spaczony, zwilgotniały, skręcony.

Album ten zabrałem ze sobą.

*

Przerzucam pofalowane, znaczone odciskami gwoździ żołnierskich butów, zbrukane i zniszczone strony.

Z pierwszej i drugiej kartki zdjęcia są wydarte. Na trzeciej dopiero matowieje nieco zżółkła fotografia w wielkim formacie. Na dalszym planie zdjęcia widać kominy fabryczne, dymiące, wysokie — na pierwszym ławkę ogrodową i dwoje ludzi. Ona w sukni z setką kokardek, tasiemek i guziczków, on z bródką a la Napoleon III-ci i w okrutnie wysokim kołnierzyku.

Napis „René et Oleńka Pourbaix, Dąbrowa Górnicza 1878 r.".

Przerzucam parę stron.

Gmach politechniki z Zurychu. Pompatyczna habilitacja doktorska na uniwersytecie we Fryburgu.

Znów duże, podniszczone zdjęcie. Doktór Juliusz jako chudy o patykowatych nogach, nadmiernie wysoki młodzieniec, w sztywnym kolejarskim kaszkiecie, obok brodaty, kwadratowy, w szerokich spodniach Rosjanin, trzymający jedną ręką pęk cietrzewi, a drugą na smyczy łajkę łaciatą, z zawiniętym obwarzankowato do góry ogonem. Tło stanowią czarne, rozłożyste prastare świerki. Podpis: Raby Ostrów, 3.XI — 21.X.1899.

Jeszcze kilka kartek dalej. O, jest dublet do niedźwiedzi! Rzeczywiście ogromne sztuki. Szabokózlony, 3.XI.1909. Szamerowana, polska bekiesza doktora, bezcenne szuby magnatów węgierskich, niemiecką modą krojone mundury madziarskiej służby lasowej. Pnący się ku górze stok, ściana gęstego zagaju.

Jakże plastyczne i barwne było opowiadanie pana Pourbaix! Jakże świetnie i wyraźnie je słyszę, tak wyraźnie jakby doktór nie skończył jeszcze mówić.

Znów trzy strony dalej.

3 listopad 1922 „Wólka Pracka".

Na płocie przy chłopskiej zagrodzie zawieszone na troczkach dwie skromne kuropatwy i jeden mizerny zajęczyna. Na zdjęciu wąsy pana Pourbaix zaczynają zlekka siwieć.

Jeszcze kilka ostatnich fotografii, teraz już świetnych, leikowskich.

3.XI.1936 „Białowieża".

Dzień musiał być wyjątkowo ciepły, jesienny, bowiem pan Julian ubrany jest tylko w myśliwską kamizelkę, stojący obok wygolony, o znajomej twarzy generał, ma też narzucony tylko na mundur płaszcz. Cztery dziki leżą przed stanowiskiem, ułożone karnie, równo obok siebie. Doktór trzyma w ręku czubatego o płomykowatych piórach na piersi ptaka. Podpis „Jarząbek, niestety, tylko jeden".

Ostatnia kartka albumu jest pusta. Fotografii tam nie było i nie będzie.

Patrzę na popielatą, pustą kartonową stronę, jak na szary ekran. Myśl wraca do niedawnych wypadków. Przed oczyma zaczyna się kręcić sugestywnie prawdziwy i jakże wyraźny dźwiękowy film.

Jedna i druga seria automatu. Klaskanie kul o mur. Krzyki, szum motoru. Grzmoty eksplozji. A potym chybotliwy odblask czerwonego ognia, pełzający po ścianach pokoju.

Pan Pourbaix podchodzi spokojnie do okna. W tej samej chwili sypią się ostre okruchy szkła i tynk z sufitu. Tuż, tuż obok twarzy rwą kule szprosy okienne w drzazgi. Jeszcze krok naprzód czy sekunda trwania na miejscu — to śmierć.

Z tym samym niezmąconym spokojem cofa się starszy pan w głąb pokoju, z tym samym chłodnym opanowaniem odsuwa futrynę drzwi i wyłuskuje ze skrytki Manlichera.

Pod wprawnym uderzeniem dłoni zatrzaskuje się posłusznie luneta, nawykłe od lat, zręczne palce wciskają magazynek z nabojami. Metalicznie i stanowczo szczęka zatrzaskiwany zamek.

Tak zaczęło się ostatnie polowanie inżyniera doktora Juliusza Pourbaix, zaczęło się jak tyle innych, dawnych, tradycyjnych, w dniu Patrona myśliwych Świętego Huberta.

Był to trzeci listopad 1943 roku. Był to czwarty rok okupacji hitlerowskiej w Warszawie.

Film skończył się, jakby nagle zerwana taśma.

Zniszczony album zamknąłem z hałasem.

X. Lawok



Z pod psów. rys. K. Tarnowski.

WŁODZIMIERZ KORSAK

ŚMIERĆ BOHATERA

Jan Mazur wyszedł przed drzwi leśniczówki. Daleko za lasem zapalała się przejasna jutrzenka. Na ciemnym jeszcze błękicie, niby złote gwoździe w pułapie, tkwiły nieruchome gwiazdy, siejąc nikły poblask przez stężałe w pierwszym przymrozku powietrze. Listopadowa noc ustępowała miejsca dziennemu światłu, pokrywając srebrną okiścią trawy i zioła, zastygłe w ciszy poranku. Przeróżnie modulowane pianie kogutów płynęło nieprzerwaną muzyką z pobliskiej wioski, ostrym zgrzytem przerywało harmonijną melodię dalekie skrzypnięcie jakichś drzwi.

— Dobra jest — szepnął sobie leśniczy — poprobujemy. W „Długiej Porębie“ wielki odyniec powinien dzisiaj leżeć, a jak nie tam, to w „Kasprowej“. Trop, niczem po ponowie. Supełek da radę.

Wstrząsnął się nagłym dreszczem od rannego chłodu i skoczył z powrotem do chaty.

Szklanka gorącej herbaty i pajda chleba ze słoniną, druga pajda do kieszeni starej wytartej kurty, sztucer na plecy i jazda.

Mały Supełek, ostrowłosy jamnik, zaglądał pilnie w oczy swemu panu, gdy ten przygotowywał się do drogi, pytając wzrokiem, czy i jego czeka upragniony dzień łowów, i płaszcząc się, to znów podnosząc uszy na małym zgrabnym łebku.

Dzielny to był psiak. Uprzykrzony szczekacz na grubego zwierza, nie zwracał uwagi na jakiegoś tam zająca, a nawet na trop sarny raczył zaledwie pokiwać ogonkiem. Za to dla czarnego zwierza był bez litości i pół dnia potrafił tkwić w gęstwinie, ogłaszając szeroko obecność dobrze ukrytej zwierzyny. Nie atakował i nie podchodził nigdy zbyt blisko, wiedząc z własnego doświadczenia, że niezawsze jest to bezpieczne, a duża blizna na boku, występująca jasną pręgą na ciemno popielatym tle i parę mniejszych odznak bojowych świadczyło, że niegdyś w młodości temperament porywał go do zdecydowanego czynu.

Teraz trzymał się zwykle o dobrych parę metrów od swej ofiary, a tylko w razie jej ucieczki, napierał z tyłu z całą energią, drąc kudły z szynek, a niekiedy wskakując, niby wprawny jeździec cyrkowy, na uchodzący przed nim pośladek.

I pan i pies zgrani byli ze sobą, jak się to rzadko zdarza. Różna modulacja cieńkiego pogwizdu wyrażała żądanie pana, który wzamian za to rozumiał mowę psa, jego cichy jazgot, przeróżny typ oszczekiwania, dźwięczny głos gonu. Krótkie, porozumiewawcze spojrzenie, rzucone z jednych źrenic w drugie, określało nieraz więcej, niż przydługa rozmowa, a słowa ludzkie w zwięzłej, uproszczonej mowie zrozumiane były dla psa w całej swej pełni.

Szli teraz razem, zagłębiając się coraz dalej w las, odgłosy wsi zcichły już za nimi, a dzwoniąca w uszach cisza stała wkoło, niby w zaklętej krainie. Dołem na wrzosach i drobnej sośninie bielał szron, pokrywając sobą przędzę pajęczą i przerzucając pomiędzy pojedyńczymi gałązkami kute ze srebra sieci.

Piękny poranek wstawał. Półmrok, panujący jeszcze w wysokim lesie, rozpraszał się powoli; przez luki między drzewami zaglądało od wschodu coraz bardziej jaśniejące niebo, zwiastun rzeźkiego słońca i pogodnego dnia.

Leśniczy Mazur wyszedł z boru na brzeg śródleśnej łąki. Jako stary myśliwy nie wyłonił się odrazu na czystą przestrzeń, stanął za pniem sosny, zakryty gałązkami młodych pędów i obserwował leżące przed nim wgłębienie, parujące miejscami w mroźnem powietrzu lekką mgłą. Na prawo, przy rosnących wzdłuż rowu olszynach, pasła się para sarn, ubranych już w zimowe szare suknie. Od czasu do czasu podnosiły głowy, nastawiając czujne łyżki w różne strony.

Nie chciał ich płoszyć leśniczy. Cofnął się i, idąc wzdłuż brzegu lasu, okrążał łąkę. Wierny Supeł szedł krok w krok za nim. Złote promienie słońca oświetliły czuby drzew, jaskrawą czerwienią zabłysły wśród gałęzi pnie sosen. Cisza trwała nadal, cisza jesienna, nie przerywana świergotem ptactwa, ani pobrzękami owadów, słychać tylko było dalekie pukanie dzięcioła.

W pół godziny po wschodzie słońca stanął Mazur u brzegu „Długiej Poręby“. Zwarta gęstwina sosny i świerku, przerywana gdzieniegdzie smużką przezroczej dębiny, ciągnęła się na dobre pół kilometra pomiędzy dwiema ścianami starego boru, przytykając jednym swym końcem do sporego jeziora, rzuconego tu pomiędzy lasy, niby odbijające świat cały zwierciadło.

— No, Supełek, jazda — szepnął Mazur i wskazał ręką na ostep. Pies rzucił głową w kierunku pana i w paru susach znikł w gęstwinie. A oto i pierwszy lekki powiew pociągnął od zachodu od strony jeziora i poruszył źdźbła traw, kiście zwiędłych rudych paproci i resztki szeleszczących sucho liści na pobliskim dębie.

Chwile oczekiwania wydawały się długie. Nareszcie niby urocza sygnaturka wypłynął z gęstwiny parokrotnie powtórzony dźwięczny głos, posuwając się dość ostro w prawo.

— Cóż to znaczy, czyżby ruszył? — szepnął w myśli Mazur, — czyżby zwierz się psa przestraszył?

Jeszcze chwila i poszczek zmienił wyraźnie swój charakter. Nie był to już gon, jak uprzednio, ale natarczywe ujadanie w miejscu, przerywane chwilami ciszy.

Leśniczy ze sztucerem w ręku zagłębił się w gęstwinę. Z początku szedł śmiało, unikając tylko zbytniego halasu, po chwili jednak ruchy

jego zwolniały, nabrały cech skradania się. Unikając trzasku gałęzi, posuwał się coraz wolniej i tylko wówczas, gdy ujadanie psa napełniało wrzawą cały las. Już niedaleko. Rzadszy tu trochę porost drzew, przetykany małemi łysinami gęstej zżółkłej trawy. O, w tamtej gęstwinie chybocą się czubki od rzucającego się tam i z powrotem psa, teraz uwaga!

Jeszcze dziesięć ostrożnych, skradających się kroków — i raptem niespodziewany, a przepiękny widok uderzył leśniczego w oczy. Naprzeciw niewidocznego w gęstych trawach i paproci Supełka stał wspaniały jeleń, zniżając od czasu do czasu w stronę napastnika głowę o przepięknych wieńcach, to znów prostując ją dumnie ku górze. Ciemna grzywa odbijała wyraźnym kontrastem od jaśniejszej sukni, wilgotne rozwarte chrapy i poruszane gniewnie przednie badyle znaczyły wyraźnie zniecierpliwie względem natarczywego napastnika. nika.

Myśliwy oparł wzrok na wieńcach byka, śledząc białe końce ciemnego poroża — osiemnastak — niezła sztuka! Trzeba psa odciągnąć, spłoszyć zwierza. Jeszcze zatem dwa kroki naprzód. Niby prądem elektrycznym tknięty rzucił byk głową w górę, wlepiając rozszerzone świece w nieprzewidzianą w tem otoczeniu postać człowieka. Potężne susy zahuczały po twardej ziemi, a za nimi potoczył się popielaty kłębek zaciekłego psa, ogłaszając całą okolicę jasnym dzwonkiem gonu.

Lecz oto ostry gwizd przeszył powietrze raz i drugi, a posłuszny Supeł, hamując swe zapędy, urwał w pół szczęku i pokornie podreptał z powrotem. Zbliżył się do swego pana, merdając całym zadem, żądny pochwały za niezwykłą karność i wnet też dostał nagrodę w postaci miłego uśmiechu i pieszczotliwego pogłaskania po tulącym się do nogi łebku, karku i bokach, dyszących ciężko z naprężenia i wzruszenia.

Myśliwy badał teraz tropy na siwej poroszy.

— Tak — tutaj ten byk, a tu oto jeszcze pięć sztuk stało, i te poszły również ku jezioru.

Przecinał teraz porębę na ukos, a Supeł znowu szedł spokojnie z tyłu, czekając nowego rozkazu.

— Dzików niema, trzeba na „Kasprową“, nic nie poradzisz!

Brzegiem poręby i boru szedł teraz Mazur w stronę jeziora, które majaczyło jasną plamą przez rzedniejące pnie. Oto już tuż blisko świetlana przestrzeń, gładka w nieruchomem powietrzu niby szyba lodu. Hen daleko, majaczą na śpiącej wodzie wielkie stada kaczek, odpoczywających spokojnie po nocnem żerowisku, tu bliżej trójkąt fali rozcina spokojną powierzchnię — to nur czarnoszyi, gość z dalekiej północy. W chwilę potem doszedł stamtąd urwany dźwięk, niby przełknięcie płynu przez zeschnięte gardło i olbrzymi ptak znikł, jak duch, pod wodą, tylko rozchodzące się coraz szerzej kręgi wskazywały miejsce, gdzie się znajdował.

Przystanął leśniczy na chwilę, oparł wzrok na dalekiej wstędze lasów ponad wodą, na bladym nad horyzontem błękicie, na oświetlonym przez radosne słońce lewym brzegu. Cudowna głęboka zieleń wiecznego igliwia w kontraście z czerwonymi konarami ciągnęła oczy, niby nieziemskie zjawisko, bladopłową wstęgą jaśniało niżej pasmo trzcin. Woda barwy te podkreślała podwójnie, ciemniejąc coraz intensywniej ku dołowi, aż wreszcie u stóp urwistego



Na skrzydle. *Fot. Wł. Korsak*

brzegu znaczyła głębię zielono-czarnym odcieniem.

Żal było odchodzić od przepięknej roztoczy, zagłębiać się znowu w surowy cień lasu, w zwarte mroczne gęstwiny. A jednak żyłka myśliwska ciągnęła het precz, w uszach dzwonił jeszcze srebrny dyszkant gonu. A zatem ku „Kasprowej!“

Wielki bór rozwarł szeroko ramiona na przyjęcie gości i zamknął je za nimi, otoczył, wchłonął. Znowu ostra woń zeschłych paproci i jagodników uderzyła w nozdrza, chłód zaczajony w cieniu, przerzedzony nad jeziorem przez promienie słońca, przesunął się po skórze, źrenice, zwężone w blasku nadwodnym, rozszerzyły się w półmroku. Czuby sosen nad głową szumiały teraz chwilami w słabym powiewie, nogi stąpały bezszelestnie w miękkim zielonym kobiercu mchów.

Godzina drogi w lekkim kroku zeszła szybko. Już oto widać na prawo „Krągłą Łąkę“, zaraz zacznie się przecinana drobnemi bagienkami „Kasprowa Poręba“.

Znowu podniosła się bezgłośnie ręka myśliwego, wskazując psu gęstą ścianę młodnika. Teraz jednak nie czekał on na wynik ekspedycji. Ze sztucerem w ręku przeciskał się powoli przez zwarty gąszcz, przystając jednak co chwila i nadsłuchując. I znowu, jak za pierwszym razem, zajazgotał pies gwałtownie, nie dał jednak sygnału gonu, ale normalne oszczekiwanie w miejscu. Mazur zwrócił się w prawo, w kierunku przyzywającego głosu. I znowu ostrożne podchodzenie, połączone z jak najcichszym przedzieraniem się przez gąszcze, znowu nieruchome tkwienie w miejscu w chwilach ciszy, gdy pies przerywał ujadanie. Brzegiem wydłużonego bagienka posunął się myśliwy szybciej naprzód, zachodząc coprawda trochę z boku, ale mając za to na myśli dalsze ułatwione podchodzenie mniej zarosłą przestrzenią. Teraz jednak i inne odgłosy można było słyszeć. W przerwach ujadania trzęsły się i szeleściły drzewa i krzewy, znać było jakby uganianie się i ostre susy ciężkiego zwierza.

— Nie daje mu pies spokoju, — pomyślał Mazur, — zdenerwowała się bestia! Pilnuj się stary! —

Szedł coraz ostrożniej. Już tylko kilkanaście kroków. Słychać wyraźnie rzężenie psiej gardzieli, zmęczonej nieprzerwanym ruchem, sapanie i fukanie zwierza, trzask gałęzi i ostry szelest traw i igliwia.

Mała halizna, tuż za nią rozgrywa się bitwa. Znów chwila przerwy i raptem z przeciwległej gęstwiny ze stulonym pod siebie ogonem wyskoczył Supeł, a za nim wywaliła się ogromna, czarna masa rozwścieczonego zwierza. Pies zatrzymał się prawie u stóp swego pana. Fuknął groźnie odyniec i, niby skręcony na ruchomej osi, zwrócił się ku zbawczemu gąszczowi. Nie zdążył jednak. Szybkim, jak myśl, ruchem poderwała sztucer ręka myśliwego i kula, zgórowana w pośpiechu, uderzyła dzika w grzbiet druzgocąc kość pacierzową. Siadł na zadzie olbrzymi odyniec i kłapał ostro szablami ku nadchodzącym wrogom. Jeszcze chwila i druga kula, ulokowana na komorę, zwaliła zwierza w miejscu, a Supeł, który po pierwszym strzale skoczył ostro naprzód, siedział już na dziku, tarmosząc z warczeniem ciemne kudły.

Ostatnie podrygi konającego zwierza. Mocny rzut głowy wtył sprężającego się ciała i oto nieszczęsny pies, który właśnie podskoczył dzikowi do ryja, otrzymał błyskawiczne, choć już nieświadome cięcie ostrej szabli przez szyję, aż z rozwartej arterii buchnęła fala krwi.

Obydwoma rękami chwycił Mazur biednego Supełka powyżej rany, cisnąc z całej siły, by zahamować pęd krwi. Nic nie pomogło. Zbroczona jasną czerwienią chustka nie mogła wstrzymać upływu. Rozdarta arteria wysączała resztki życiodajnego płynu, a gasnący wzrok zamglonych źrenic tkwił nieruchomo gdzieś w przestrzeni, widząc już może w zaświatach rzeczy, których my ludzie tu na ziemi widzieć nie możemy.

Ostrożnie złożył Mazur maleńki zewłok na zielonej kępie mchu, niby na aksamitnej poduszce i wyprostował się, zdjął czapkę i ręką przeciągnął po czuprynie. Rozejrzał się wkoło. Nic się chyba nie zmieniło — słońce świeciło po dawnemu, dzień późnej jesieni płynął bez przerwy. Dwie istoty znikły z tego naszego widomego świata i ta obca — za jego własną przyczyną — i ta blizka i droga — z losu kolei. Ha, trudno, cóż poradzić! Nie jeden cios nas spotkał, nie jeden może jeszcze nas czeka. A życie płynie i robić w niem trzeba i swoją taczkę pchać.

Zrzucił Mazur kurtkę i wziął się do pracy przy dziku. Oczyścić go trzeba, wypaproszyć, przygotować do wywiezienia — roboty nie mało na jednego człowieka.

Potem wytarł skrupulatnie ręce narwanym z kępiny wilgotnym mchem, sztucer zarzucił na plecy i wziął ostygłe już małe ciałko na ręce.

Niósł je niczym dziecinę drogą ku domowi naprzełaj, przez las, aby pochować wiernego przyjaciela tuż przy domu, a korony sosen szumiały mu nad głową swój marsz pogrzebowy.

Tak zginął bohaterską śmiercią dzielny Supełek, zacny pies, przyjaciel człowieka, ten prawdziwy przyjaciel, któremu zawsze można zaufać, szczery, oddany całą swą nieodgadnioną dla nas duszą.

Wł. Korsak

ANDRZEJ ŚLIWIŃSKI

W puszczy, w górach i w legendzie

Pogromcom największego drapieżnika świata.

Minęło już kilka dobrych dziesiątków lat, kiedy ostatni potomek najbardziej krwiożerczego drapieżnika przekradał się przez polskie góry i lasy, chcąc ujść pogoni prześladujących go psów myśliwskich, kierowanych ręką człowieka, myśliwego i hodowcy, który znienawidzonemu zwierzęciu zaprzysiągł walkę na śmierć i życie.

W ucieczce swej nie miał sprzymierzeńców, bo wszystko, co zamieszkiwało tereny przez niego nawiedzane, cechował wysoce wrogi do niego stosunek. Już sam jego widok lub zapach doprowadzał potężniejszych reprezentantów naszych puszcz do bezgranicznej wściekłości, wśród drobniejszej i słabszej natomiast zwierzyny wywoływał nieopisaną panikę i przerażenie. Nawet drobne ptaki reagowały na jego widok i najprzeróżniejszymi głosami znaczyły szlak jego ucieczki.

Łanie, sarny i lochy zabierały swe małe i kryły się w niedostępnych gąszczach naszych borów, lub też zaszywały się w bezkresnych bagnach, szukając schronienia wśród szuwarów i oczeretów.

Stary, o potężnych rosochach, łoś, który niejedną zwycięską walkę miał już za sobą, stawał się niespokojny i dla wykazania swej siły groźnie podrzucał rosochami i wyrywał z ziemi całe krzaki, wyrzucając je wysoko do góry. Rozwarte chrapy, krwią nabiegłe oczy i nastawione łyżki świadczyły o jego wściekłości i pogotowiu do odparcia ataku.

Król naszych puszcz, żubr, nie ukrywał również swego niezadowolenia i potężnym rykiem wyzywał przeciwnika do walki. Poorane jego rogami połacie ziemi, schlapane obficie pianą z pyska, były wymownym dowodem jego zamiarów.

Nawet największy z naszych drapieżników, niedźwiedź, nie umiał zachować spokoju i na widok znienawidzonego zwierza próbował swych pazurów na otaczających drzewach, wydając przytem z gardła dzikie i groźne pomruki.

Jedynie tylko potężny odyniec, ufny w grubość swej skóry i niezawodność swych szabli, niewiele sobie robił z tego przeciwnika, choć głośnym fukaniem ostrzegał swych pobratymców o grożącym im niebezpieczeństwie.

Kierując się tymi odgłosami i znakami kniei, z których wytrawny myśliwy czytać może jak z książki, niestrudzony człowiek nie zaprzestał pogoni i wreszcie po wielu trudach i mozołach znienawidzony zwierz padł przeszyty celną kulą prześladowcy.

Ale zdobycz nie była łatwa, gdyż ten zwierz drapieżny i okrutny był mistrzem w obronie i na szlaku jego ucieczki leżały gęsto trupy psów z wyszarpanemi gardłami i rozprutemi wnętrznościami.

Zaciekawi zapewne wszystkich, jak wyglądał ten drapieżny zbir leśny, tak znienawidzony przez zwierzęta i ludzi.

Należy do gatunku kunowatych, a ponieważ wzrostem przekracza nawet rozmiary borsuka, więc jest niewątpliwie największą kuną świata. Na pierwszy rzut oka podobny nieco z kształtów do borsuka, lecz przy bliższym badaniu podobieństwo to zanika. Wysokość w łopatce nieco powyżej 50 cm., długość razem z krótkim, lecz bardzo puszystym ogonem, powyżej jednego metra. Futro koloru bronzowawo-szarego z czarnem siodłem na grzbiecie, na dolnej części ciała i na nogach włos dłuższy, aniżeli na pozostałym korpusie. Budowa bardzo zwięzła i wyjątkowo mocna. Łeb na krótkiej szyi szeroki, niedźwiedziowaty, zakończony ostrym pyskiem, piekielnie uzębionym. Uszy stojące, pochylone do tyłu, oczy małe bystre i świdrujące. Łapy bardzo mocne, wyjątkowo jak na wzrost zwierza grube, zakończone owalną stopą, opatrzoną w niesłychanie ostre i mocne pazury. Bieg ma wahadłowaty, podobny do naszej kuny, a ślady pozostawione na śniegu przypominają tropy młodego niedźwiedzia.

Pomimo pozornie ciężkiej budowy, jest zwierzęciem dość zwinnym, dzięki swym talerzowatym stopom doskonale porusza się w największym nawet śniegu, a ostre pazury umożliwiają mu jak rysiowi wdrapywanie się na drzewa.

Skala jego pożywienia jest wyjątkowo rozległa i zależna od terenu, w którym buszuje. Na bagnach i wodach karmi się flemingami, ślimakami i rybami, nie gardzi również żabami i wężami. Wybiera doskonale gęsie i kacze jaja, jak również wszelkie młode ptaki wodne.

W terenach górskich i lesistych bierze każdą zwierzynę, nie wyłączając młodych wilków i rysi. Zazwyczaj zadawalnia się drobniejszą zwierzyną, gdy jednak tej mu brakuje, kładzie trupem stare jelenie i łosie.

Jest zwierzęciem operującym również w osiedlach ludzkich, gdzie ofiarą jego drapieżnych instynktów padają owce, świnie, psy i drób domowy. Bezczelność swą posuwa nieraz tak daleko, że porywa nawet i dzieci.

Boi się tylko człowieka, który na niego poluje, gdyż ma respekt przed bronią myśliwską. W stosunku do innych ludzi, jest zwierzęciem szalenie mściwym i gdy tylko zdarzy się sposobność, zakrada się do domostw, spichrzów i szałasów myśliwskich i tam przeprowadza radykalne zniszczenie, szarpiąc wszystko na strzępy, co używane jest przez człowieka. Znalezionej żywności nie konsumuje, lecz za-

nieczyszcza ją w niesłychany sposób, absolutnie uniemożliwiający jej zużycie.

Zbójeckie swe praktyki wykonywa w dzień i w nocy, bez względu na pogodę i porę roku, nie znając chwili wypoczynku. Ostoi własnej nie posiada, jest w ciągłym ruchu i przebywając ogromne przestrzenie, zjawia się niejednokrotnie jako niespodziewany gość w rewirach, gdzie go dawno nie widziano.

Jest drapieżnikiem chytrym, ostrożnym lecz wyjątkowo odważnym, a nawet i zuchwałym.

Gdy głód mu doskwiera, nie waha się śledzić polującego niedźwiedzia i przydybawszy go nad schwytaną ofiarą, potrafi go zmusić do porzucenia zdobyczy. W zimie, gdy upolowanie zwierza nastręcza częstokroć duże trudności, bezczelność i zuchwalstwo swe posuwa tak daleko, iż idzie śladem wilczej zgrai, i gdy tylko usłyszy rozgrywający się dramat leśny, znajduje się natychmiast w środku wilczego stada i potrafi odebrać upolowaną ofiarę. W walce, którą musi w tym wypadku rozstrzygnąć, używa swych piekielnych narzędzi mordu, tj. zębów i pazurów, stosując zarazem nowoczesny środek bojowy w postaci gazów trujących, które sam z siebie wydziela. Odór tych gazów jest tak straszny, że żaden zwierz w atmosferze tej wytrzymać nie może.

Zna przytem anatomię zwierząt nie gorzej od chirurga i gdy tylko trzeba, jego piekielne zęby w jednej sekundzie potrafią przegryźć tętnice i w ten sposób największego nawet zwierza doprowadzić do upadku. Gdy użycie zębów nie jest z jakichkolwiek względów możliwe, decydujący zabieg chirurgiczny wykonywa przy pomocy pazurów, które we właściwym miejscu i bez pudła potrafią wypruć wnętrzności atakowanego zwierzęcia.

Jeżeli jednak natychmiastowe zamordowanie upatrzonej ofiary nie jest wskazane ze względu na obecność ludzi w pobliżu, zwierz ten potrafi ją uprowadzić w bezpieczne miejsce i tam dopiero dokonać końca jego żywota. Czyni to bardzo często w stosunku do stada renów, z którego wybrawszy jedną sztukę, dosiada ją jak pierwszorzędny jeździec, i goniąc całymi kilometrami, doprowadza wreszcie do miejsca, gdzie może bezkarnie i bez obawy pogoni uwieńczyć swe mordercze zabiegi.

Zbójeckie swe praktyki wykonywa w najprzeróżniejszy sposób. Drobne sztuki bierze atakiem frontowym, grubsze z zasadzki. Ulubionym miejscem jego czatów są konary drzew lub upłazy skalne nad przesmykami, którymi przechodzi zwierzyna. Skok na upatrzoną ofiarę wykonywuje zazwyczaj z dużej wysokości w sposób specyficzny, zupełnie niepodobny do skoku innych drapieżników. Podczas gdy wszystkie drapieżniki w skoku na zwierzynę chwytają ją w pazury, a potem duszą zębami, nasz drapieżca rzuca się ze znacznej wysokości zwinięty w kłębek niby kosmata kula i siłą swego uderzenia łamie kręgosłup lub nogi upatrzonej ofiary. Zdarza mu się nieraz, że w skoku tym chybia i zamiast na zwierza pada na sterczące głazy. Każde inne zwierzę po takim niefortunnym skoku uległoby niewątpliwie ciężkim obrażeniom lub padło trupem, nasz zbir leśny wychodzi z tego przedsięwzięcia zawsze bez szwanku, jedynie z żalem za uszłą zwierzyną.

Żarłokiem jest niesamowitym i dlatego też morduje wszystko, co staje mu na drodze. Gęś lub zając, to dla niego drobna przekąska, dopiero sarna lub baran zaspakaja na krótki czas jego niesamowity apetyt. Na temat jego żarłoczności krążyła w Polsce legenda, że zwierz ten celem przyspieszenia trawienia, wyszukuje dwóch drzew blisko siebie stojących i przeciska się przez nie, by jak najprędzej uwolnić swój kałdun od znajdującej się w nim zawartości i mieć wolne miejsce dla nowej ofiary. Legenda ta znajduje pewne potwierdzenie w opowiadaniach myśliwych syberyjskich, którzy stwierdzają, że zwierz ten po spożyciu zdobytej ofiary, włazi na drzewo i tam przeciskając się przez gałęzie, przeprowadza radykalny masaż zapchanego brzucha.

Mistrzem jest w unikaniu nastawionych na niego pułapek i w wybieraniu zwierzyny w pułapki czy sidła złapanej. Jeżeli jednak sam dostanie się w żelaza, to nie rezygnuje jak inne zwierzęta i walczy do upadłego, byleby odzyskać straconą swobodę. Przegryzienie żelaza lub odgryzienie własnej łapy niejednokrotnie u tego zwierza było spotykane. Jest przytem tak silny i wytrzymały, że dostawszy się w potrzask miażdżący, skonstruowany z ciężkich bali drewnianych, pod uderzeniem których giną i tygrysy, potrafi czasem wydostać się z opresji i ujść względnie cało w bezpieczne miejsce.

Polowanie na tego zwierza nie było łatwe i odbywało się tylko w zimie w czasie ponowy. Aby uwieńczyć je powodzeniem trzeba było mieć sforę specjalnie zaprawionych psów, znających jego sztukę obronną i broń przez niego używaną. Użycie najciętszych psów, biorących nawet i wilka, ale nie posiadających na tego zwierza specjalnej zaprawy, do pomyślnego rezultatu nigdy nie doprowadzało, a dla ścigających psów kończyło się zazwyczaj katastrofą. Uciekając bowiem przed psami zarówno po ziemi jak i po drzewach i myląc w ten sposób tropy wszelkimi mu znanymi sposobami, zwierz ten doprowadzał ścigającą go sforę do utraty łączności, i gdy tylko zauważył, że ma na swoich tyłach tylko jednego przeciwnika, natychmiast zawracał i masakrował go w niesłychany sposób. Mając za sobą psy należycie niewyszkolone, manewr ten potrafił powtarzać i po parę razy.

Gdy jednak miał do czynienia ze sforą należycie na niego zaprawioną starał się ujść wszelkimi możliwymi sposobami. W terenach górskich, nie widząc wyjścia z grożącej mu sytuacji, wybierał szlaki leżące nad skrajem przepaści i gdy miał przeciwników na ogonie, posługiwał się karkołomnym skokiem w przepaść, zwijając się w kłębek. Biada psom, które nie potra-

fiły zahamować swego biegu i nieopatrznie poszły jego śladem. Pozostaną po nich gdzieś w rozpadlinach górskich żałosne szczątki, którymi on, zwycięzca, wychodząc bez szwanku z djabelskiego skoku, zaspokoi swój nienasycony apetyt.

Fortele i sztuki nie zawsze jednak pomagały i uwolnienie się od pościgu było nieraz absolutną niemożliwością. Wówczas podejmował walkę na śmierć i życie, jego piekielne kły miażdżyły kości i wyszarpywały całe kawały ciała, a ostre pazury cięły jak nożem skórę przeciwników i wypruwały wnętrzności. Pomagał sobie przytym i strasznym odorem, który wyrzucał z siebie w stronę napastników, obniżając znacznie przez to ich zdolność bojową. Według krążących bowiem starych legend polskich odór ten oddziaływa na psy w ten sposób, iż osłabia ich wzrok i pozbawia węchu na dłuższy okres czasu. Legenda syberyjska głosi nawet, że od odoru tego żółknie śnieg w promieniu kilkunastu metrów, a w lecie liście więdną na drzewach w takimże promieniu.

Gdy jednak nieustraszone psy, nie bacząc na grożące im niebezpieczeństwa, atakują razem i schwycą tego diabelskiego drapieżnika przedewszystkim za nogi, będące jego najgroźniejszą bronią, wówczas gdy myśliwy jest blisko i celna kula ulokowana zostanie we właściwym miejscu, polowanie jest zakończone. Gdy jednak myśliwy nie zjawi się w odpowiednim momencie, zwierz może się wyrwać i po kilku ponownych spotkaniach z psami tak je pomasakrować i obrzydzić walkę, że zaniechają dalszej pogoni. Kto z naszych myśliwych widział jak nasza kuna leśna czy kamionka walczy z atakującymi ją psami i jak potrafi masakrować nasze koty domowe, ten wyobrazi sobie łatwo jak wygląda walka, w której bierze udział największa kuna świata.

Dziś zwierz ten należy do rzadkich okazów naszego świata zwierzęcego, zamieszkuje on bardzo nielicznie północną Norwegię i Finlandię, niektóre okręgi syberyjskie i Alaskę. Przebywa wśród niedostępnych jarów górskich i trudnych do przejścia puszcz, skąd dokonywa swych zbójeckich wypadów. Ofiarami jego padają dziś jeszcze setki owiec, renów i innych zwierząt domowych.

Spotkanie się w kniei z tym leśnym bandytą jest niestety u nas niemożliwe, gdyż zwierz ten w Polsce oddawna już nie istnieje, wytępiony przez człowieka i przez zmienione warunki jego bytowania. Pozostały po nim jedynie legendy i straszne opowiadania, których ojcowie nasi w młodocianym wieku wysłuchiwali przy kominku z zapartym oddechem.

• * •

Minęło już kilka dobrych dziesiątków lat, kiedy ostatni rosomak (Gulo borealis) najstraszniejszy drapieżnik naszych górskich i leśnych rewirów, padł przeszyty celną kulą myśliwego. Nie słychać już o nim wśród braci myśliwskiej, wśród strzelców i tropicieli. Zapomniane zostały krwawe rozprawy z tym zwierzem i jego zbójeckie w rewirach wyczyny *).

Nawet stare niańki przestały straszyć niegrzeczne dzieci tym krwiożerczym drapieżnikiem, któremu ongiś diabelskie moce przypisywano.

Czas przeszedł, ale stara legenda polska, głosząca, że każdy rosomak po zabiciu wciela się w krwawego zbira, nękającego ludzkość, mimowoli odżywa wśród dzisiejszego pokolenia, mającego za sobą dni niesłychanej grozy, morderstw i okrucieństw.

I wspominając, jak najstraszniejszą zmorę, przeżyty niedawno okres czasu, mimowoli nasuwa się pytanie, w czyją postać mógł się wcielić ten zwierz okrutny, tak znienawidzony przez zwierzęta i ludzi.

Odpowiedzi na to pytanie udzielać nie będziemy, gdyż każdy czytelnik w drodze analogii będzie ją miał niewątpliwie zaraz na ustach. Pragniemy się jedynie w zakończeniu zastanowić, czy jest rzeczą słuszną, by ten zwierz okrutny, należący do niesamowitych przedstawicieli naszego świata zwierzęcego, tępiony był wszędzie bez miłosierdzia i w ten sposób skazany na całkowitą zagładę. Nawet w kraju tak kulturalnym jak Norwegia, otaczającym przyrodę pieczołowitą opieką, do dziś dnia istnieją przepisy, na mocy których za ubicie rosomaka przyznawane są wysokie nagrody pieniężne.

Myśliwy polski, dla którego ochrona zabytków przyrody jest nakazem jego działalności łowieckiej, z powyższym stanem rzeczy, zmierzającym do zupełnej zagłady jednego z najciekawszych drapieżników świata, pogodzić się w żaden sposób nie może i niewątpliwie dałby dużo, by z drapieżnikiem tym, otoczonym na całym świecie szeregiem legendarnych opowieści, spotkać się w kniei czy w górach i osobiście przekonać się o jego sile, sprycie i skali jego zbójeckich walorów.

Sądzę, że stanowisko takie powinno podzielić nie tylko łowiectwo całego świata, ale wszystkie stowarzyszenia i organizacje mające na celu ochronę przyrody.

Łowiectwo polskie, które przodowało od dawnych czasów w hodowli zwierzyny i w ochronie zabytków przyrody, które dało dowody, że przy umiejętnej gospodarce łowieckiej i należycie ograniczonym odstrzale, nawet takie drapieżniki jak wilki, rysie i niedźwiedzie nie przedstawiają zbytniego niebezpieczeństwa ani dla ludzi, ani dla zwierzyny, powinno wystąpić na międzynarodowej arenie łowieckiej z wnio-

*) Pracę niniejszą pisałem w czasie okupacji i wszelkie bardzo cenne posiadane do niej materiały uległy spaleniu. O ile mnie pamięć nie zawodzi, to ostatni egzemplarz rosomaka ubity został na Wołyniu w Janowej Dolinie w roku 1882. Źródła galicyjskie podają, że ostatni rosomak w Karpatach ubity został w 1876 roku.

skiem, by i ten leśny bandyta doczekał się choćby częściowej amnestii i w ten sposób ocalał, jako jeden z najciekawszych przedstawicieli ginącego dziś świata zwierzęcego.

Występując w obronie ginącego dziś rosomaka, daleki jestem od obrony wcielonego w szeregi ludzkie rosomackiego plemienia, które przyswoiło sobie metody życia i walki, stosowane przez tego okrutnego zwierza. Zwracam się nawet z apelem do pogromców największego drapieżnika świata, duchowego przywódcy tych rosomaczych szeregów, by w pracy swej nie ustawali i wytępili do reszty pozostałe w społeczeństwie ludzkim inkarnacje rosomaka.

Ale sam rosomak, choć zwierz okrutny, i twór niesamowity, niech żyje nadal, gdyż stworzony przez Boga i naturę dla wykonywania pewnych czynności wśród świata zwierzęcego, ma pełne prawo do życia, którego człowiekowi bezkrytycznie łamać nie wolno.

A. Śliwińsk.



J. MARCHLEWSKI

Głuszec, cietrzew i jarząbek w Polsce

Polska Sekcja Międzynarodowego Komitetu Ochrony Ptaków rozesłała za pośrednictwem Ministerstwa Lasów i Polskiego Związku Łowieckiego ankietę, mającą na celu stwierdzenie stanu niektórych gatunków ptactwa łownego i niełownego. Do dnia 25.VII.1947 r. nadeszło 700 odpowiedzi z piętnastu województw. Znaczna większość odpowiedzi pochodzi z Nadleśnictw Państwowych, a tylko niewielki odsetek od członków Polskiego Związku Łowieckiego, co zresztą dla wysyłających ankietę nie jest żadną niespodzianką. Pobieżne przejrzenie nadesłanych odpowiedzi pozwala żywić nadzieję, że uda się przy jej pomocy ustalić miejscowości, w których gnieżdżą się wymierające gatunki naszej skrzydlatej fauny, a może także w przybliżeniu określić ich stan ilościowy. Oprócz gatunków zagrożonych wymarciem, ankieta obejmuje także i gatunki pospolite i takie, które przedstawiają przedmiot zainteresowania dla czysto naukowych badań.

Pozatem, przeglądanie ankiety budzi bardzo smutne refleksje. Wyczuwa się z niej wyraźnie, że u bardzo wielu z naszych leśników znajomość ptactwa, a zwłaszcza ptactwa drapieżnego jest bardzo mętna i pogmatwana. Być może, że w pewnym stopniu wina leży też po stronie niezbyt wyraźnego sformułowania ankiety, niemniej jednak niepodobna rzeczy inaczej osądzić. Bardzo często spotyka się w ankiecie mieszanie np. rybołowa z rybitwami, puchacza z puszczykiem, a nawet kwiczołów z jarząbkami. Temu stanowi rzeczy nie należy się jednak dziwić. Wina leży nietylko w tym, że „polska literatura łowiecka jest uboga", ale także i w tym, że książki łowieckie nawet przez fachowców (leśników) pisane mają często błędy, które wzmagają zamęt i niewiedzę. Nie chcę tu być gołosłownym, wymienię przeto błędy istniejące w książkach łowieckich wydanych przed wojną. I tak np. w „Łowiectwie" inż. Krawczyńskiego na str. 352 pod wizerunkiem myszołowa włochatego widnieje podpis: gołębiarz. W „Ochronie przyrody w Województwie Śląskim" A. Czudka na str. 153, pod fotografią młodych pustułek napisano: sowy; w „Łowiectwie" St. Kamockiego, str. 86, pod wizerunkiem białozora napisano: sokół wędrowny i dalej na str. 88 napisano, że „z myszołowów znane są u nas dwa gatunki: myszołów zwyczajny i tzw. pszczołojad". Pomijam już takie rzeczy, jako może mniej ważne, jak nazywanie w podręcznikach łowieckich motylicy owadem, nazywanie otworu nadorbitowego w czaszce jelenia przewodem dla nerwu wzrokowego lub mięszanie jajników z jajami, a plemników z hormonami, co trafiało się nieraz, a co na przyrodnika działa fatalnie i budzi niechęć do współpracy. Wobec takiego stanu rzeczy nie można się dziwić, że znajomość ptactwa drapieżnego (a nawet „czysto" łownego), wśród licznych rzesz naszych myśliwych jest częstokroć bardzo niewystarczająca. Myśliwi, „wypuszczeni", że się tak wyrażę, z miasta na polowanie gremialnie, urządzone przez kółko łowieckie, do którego należą, strzelają wszystko, co się z ptaków drapieżnych pod lufy nawinie, bez względu na to, czy dany ptak ma tylko ochronę sezonową, czy też jest przez cały rok chroniony. Dlatego też ośmie-

łam się twierdzić, że wśród myśliwych niema ani jednego, któryby nie był przestępcą prawa łowieckiego.

Oczywiście, że Polski Związek Łowiecki robi co może, aby zmienić istniejący stan rzeczy. Przy egzaminach na nowo wstępujących członków wymaga się obecnie znajomości ptactwa drapieżnego, co jednak narazie nie może dać pełnych rezultatów, gdyż niejednokrotnie egzaminujący zna się tyleż samo na ptakach drapieżnych, co i egzaminowany.

Przeglądając ankietę zainteresowałem się przede wszystkim: głuszcem, cietrzewiem i jarząbkiem. Odpowiedziami co do tych trzech ptaków chcę się podzielić z Czytelnikami Łowca Polskiego, zastrzegając się oczywiście, że są one tylko surowym wyciągiem z ankiety, nie popartym narazie żadnymi sprawdzeniami, czy też uzupełnieniami.

Co do głuszca, to na 700 nadesłanych dotychczas odpowiedzi, 77 zawiera wiadomość o tym ptaku. W trzech tylko odpowiedziach określono stan jego jako „pospolity", co trzeba brać jednak z wielkim zastrzeżeniem, gdyż niejednokrotnie w ankiecie spotyka się sformułowania: „pospolity w niewielkiej ilości" lub „pospolity, spotyka się 4 sztuki". Pozatem wszystkie pozostałe odpowiedzi określają stan głuszca jako: bardzo rzadki, nieliczny i wymierający. Z odpowiedzi wynikałoby, że głuszec występuje jeszcze w trzynastu Województwach: Gdańskim, Szczecińskim, Pomorskim, Poznańskim, Białostockim, Lubelskim, Kieleckim, Warszawskim, Łódzkim, Wrocławskim, Śląskim, Krakowskim i Rzeszowskim. Dalsze uzupełnienie ankiety, uzyskane przez powtórne dopytania, sprawdzenia na mapach i specjalne wywiady, powinny dać w przyszłości obraz wyraźniejszy występowania głuszca w Polsce, który zostanie opublikowany w niedalekim czasie.

W sprawie występowania cietrzewia, na 700 odpowiedzi 268 zawiera dane o cietrzewiu. Tutaj z większym prawdopodobieństwem można przyjąć za prawdziwe określenie; „pospolity". Określeń tych jest 20. Pozatem najczęstszym określeniem jest „nieliczny", następnie „rzadki", „bardzo rzadki", a spotyka się też określenia: „ginący", „coraz mniej" lub „wymierający". W jednym wypadku czytać można zdanie: „obecnie występuje, dawniej nie było", co zdaje się być bardzo znamienne w związku ze stanem niektórych lasów. Występowanie cietrzewia obejmuje Województwa: Gdańskie, Szczecińskie, Pomorskie, Poznańskie, Białostockie, Lubelskie, Kieleckie, Warszawskie, Mazurskie, Olsztyńskie, Łódzkie, Wrocławskie, Śląskie, Krakowskie i Rzeszowskie.

Jarząbek. Na 700 nadeszłych odpowiedzi tylko 185 zawiera dane o jarząbku. Bardzo często spotkać można określenie „na wyginięciu", „coraz rzadszy", „wymiera" lub „od dłuższego czasu zupełnie nie spotykany". Bardzo rzadkie są odpowiedzi: „dość częsty" lub „stan średni". Wed.ug ankiety jarząbek występuje w Województwach: Gdańskim, Szczecińskim, Pomorskim, Poznańskim, Białostockim, Lubelskim, Kieleckim, Warszawskim, Łódzkim, Olsztyńskim, Śląskm, Krakowskim i Rzeszowskim.

Byłoby bardzo pożądane, aby oprócz danych otrzymanych drogą ankiety, udało się zebrać jeszcze pewne wiadomości o występowaniu tych trzech gatunków kuraków z terenu naszych ziem. Ponieważ sprawa ta jest bezwątpienia interesująca nietylko dla przyrodników, ale i myśliwych, zwracamy się przeto do wszystkich myśliwych dobrej woli z prośbą, aby byli łaskawi przesłać posiadane przez siebie wiadomości do Polskiej Sekcji Międzynarodowego Komitetu Ochrony Ptactwa w Krakowie, ul. Sławkowska 17, Polska Akademia Umiejętności.

J. Marchlewski.

ZBIGNIEW KOWALSKI

O NIEDŹWIEDZIĄ SKÓRĘ

(Sporne strzały i ich rozsądzanie)

WSTĘP.

Zacznę od wspomnień.

Puszcza Bersztańska, luty 1937 r. Dzień jest mroźny, chmurny, posępny. Polowanie idzie nam źle. Dwa mioty z otropionymi dzikami nie dały spodziewanych rezultatów. Pozostał trzeci, ostatni, w którym oczekujemy jednego, choć dużego, ale niepewnego wilka. Pędzenie będziemy brali bez sznurów, szanse na spotkanie zdają się więc być żadne.

Niemniej w połowie gonu na lewo ode mnie, na szerokiej, śródleśnej kaliźnie pada jeden, drugi, a potem trzeci, ostry sztucerowy strzał.

A więc wilk był i wyszedł na linię.

Na środku polany ściśnięta gromadka myśliwych i obławników mówi już wyraźnie, że strzelany, pewno niezgorszy basior, skończył tam swą zbójecką wędrówkę po kniei. Kiedy podchodzę bliżej uszu dobiegają słowa: „Ryś... prezes"!

Przyśpieszam kroku, rozstępuje się zwarty krąg naganiaczy. Na białym puszystym śniegu leży wspaniały centkowany rudo-popielaty kot.

Rzucam się już winszować prezesowi Garczyńskiemu, gdy ten wstrzymuje mnie słowami:

— Nie wiadomo jeszcze czyja to będzie zdobycz, gdyż mecenas Wilczewski też strzelał i również trafił.

— Czekamy właśnie na łowczego dla rozsądzenia sporu — dodaje kolega Aleksander.

W towarzystwie dwóch wybranych arbitrów przystąpiłem niezwłocznie do rozsądzania spornej sztuki, zaczynając od wizji lokalnej.

Na miejscu strzałów Mecenasa rozrzucona po śniegu miotełka loftek wskazywała wyraźnie, że śruty Olesia musiały być celne. Obserwację tę potwierdziły zresztą kropelki farby na tropie. Stwierdziliśmy też, że ryś, idący truchta, ruszył po strzałach Wilczewskiego trzymetrowymi susami, ażeby po otrzymaniu Walusio-

wej kuli zrobić kilka. jeszcze dłuższych skoków i paść martwym.

Kulę z drylinga Garczyńskiego znać jest wyraźnie na komorze zwierza, szerść barwi się czerwienią i coraz szerzej, ale w innych miejscach rysiego futra występują i inne krwawe plamy. To po loftkach Mecenasa. Więc?...

Krótka narada Sądu i decydujemy, że choć ryś niewątpliwie powinien należeć do Prezesa, to jednak wypowiedzieć ostatnie słowo będziemy mogli dopiero po powrocie do domu i po obieleniu zwierza.

Potem następuje fotografia kolejno obu kolegów przy zabitym zwierzu (z których jedna ma myć później umieszczona w „Łowcu Polskim") i ładujemy się na sanki.

Ponieważ czasu jest jeszcze sporo, więc postanawiam przepędzić miot „pocieszenia" na bielaki i lisy, który nie dał jednak żadnego rezultatu.

Potem już w domu trzeba było rozmrozić skostniałego na kamień rysia, następnie zjedliśmy kolację, aby dopiero koło godziny 18-tej przystąpić do dalszych czynności sądowych.

Jestem głęboko przekonany, że ani długoletni członek Palestry, W. W. Garczyński, ani aktualnie wtedy praktykujący, mecenas A. Tallen Wilczewski, rzadko, albo też nigdy w życiu nie denerwowali się tak. jak w oczekiwaniu na ogłoszenie wyroku sądowego.

A wyrok był zupełnie niespodziewany. Ryś stanowił bowiem bezspornie trofeum kolegi Wilczewskiego. Śmiertelną ranę otrzymał od dwóch loftek, które ulokowane były na komorze, tuż koło siebie stykowo i przebiły zwierza na wylot. Rana przez to wydawała się tak duża, że początkowo sądziliśmy, iż pochodzi ona od kuli.

Dwie inne loftki tkwiły w łapach i na łopatce i były rozpłaszczone na kościach.

Kula Walusiowa chybiła więc, a ryś śmiertelnie ranny padł nim przebrzmiało echo kulowego strzału, bo i tak paść musiał.

Wspomnienie powyższe podaję zamiast wstępu, gdyż wykaże ona lepiej niż najbardziej wyrozumowane argumenty, że sporne strzały, bez których żadne polowanie nie może się przecież obejść, winny być w czasie rozsądzania wszechstronnie i dokładnie zbadane, do głębi przedyskutowane i ze wszystkich stron sprawdzone, zanim ostateczny wyrok zostanie wydany. Z drugiej też strony niech przykład ten wykaże, że żadna ze stron, choćby nie wiem jak pewną była swego stanowiska, nie powinna zbyt pochopnie zgóry i głośno twierdzić, że zabita sztuka jej się właśnie należy.

Niepisane zwyczaje myśliwskie, stosowane od lat nakazywały w razie zaistnienia spornych strzałów do zwierzyny powoływać do rozsądzania zdobyczy rozjemcę, którym był z reguły najstarszy wiekiem myśliwy. Takież same prawa myśliwskie mówiły, że zabitego zwierza bierze pierwsza kula, lub ostatni śrut.

Dziś pojęcia te zmieniły się nieco, rozszerzyły i dostosowały do nowoczesnej broni, do ujętych regulaminami zbiorowych polowań i do konieczności ukrócenia większej bodaj obecnie zachłanności myśliwych za ubitą sztukę.

I. SĄD ARBITRÓW.

W regulaminie polowań, który został opracowany przez Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego, a który to regulamin obowiązuje wszystkich myśliwych zrzeszonych w Związku, podane są ogólne zasady wybierania arbitrów, mającego za zadanie rozstrzyganie spornych sztuk zwierzyny. Zasad tych nie będę powtarzał.

Nadmieniam jednak, że o ile przy sztukach spornych do zwierzyny drobnej winien wyrokować jeden arbiter, najlepiej łowczy, czy prowadzący polowanie, nigdy gospodarz polowania, lub ewentualnie decydować los, o tyle przy strzale spornym do sztuk grubych musi być powołany sąd, składający się z trzech osób, jak podane to jest w wymienionym wyżej regulaminie polowań. W wypadku jeżeli do spornej sztuki strzelało trzech, czy więcej myśliwych — to wybierają oni również tylko dwóch arbitrów. Jeżeli strony nie mają się jednak co do tego wyboru zgodzić — to z pomiędzy zgłoszonych kandydatów na arbitrów wylosowuje się dwóch, mających wejść w skład sądu.

Przypomnę dalej zasady, według których arbitrzy mają pracować. Przede wszystkim więc winni oni zbadać dokładnie stan faktyczny sporu w terenie, to jest odszukać miejsce strzałów i postrzałów, określić miejsce, z których myśliwi strzelali, kierunek strzałów i kierunek biegu zwierza, stwierdzić kaliber broni, jakość kuli, lub grubość śrutu, oraz przetropić osobiście drogę zwierza, aż do miejsca jego upadku. W tym ostatnim miejscu należy zwrócić uwagę na stronę, na której zabity zwierz leży, bowiem w 95% wypadków zabita sztuka kładzie się na tę stronę, z której otrzymała postrzał.

Jeżeli wymieniona wyżej wizja lokalna nie da jeszcze dokładnego stwierdzenia przynależności zabitej sztuki wyrok należy ferować po obieleniu sztuki, a nawet w specjalnych wypadkach — po wyprawieniu skóry.

Zachowanie się arbitrów winno być w czasie przeprowadzania przewodu sądowego — poważne, bezstronne i sumienne. Żadnej decyzji nie należy przedsiębrać na kolanie i bagatelizować sporu, choćby on dotyczył najdrobniejszego zwierza. Również nie wolno się kierować arbitrom momentem, że zostali oni wybrani przez strony zainteresowane i dlatego mają swoją decyzję przychylać na ich korzyść. Na wyrok bowiem sądu arbitrażowego winno mieć tylko i wyłącznie wpływ sumienie i sprawiedliwość.

Również samo podanie do wiadomości zainteresowanym stronom decyzji, winno być uczynione w formie poważnej i umotywowanej, by jako ostateczne nie mogło wywoływać żadnych formalnych protestów, czy sprzeciwów.

Przechodzę teraz do poszczególnych kombinacji, jakie mogą zaistnieć przy strzałach spornych.

II. RÓWNOCZESNE STRZAŁY ŚRUTOWE.

Przy równoczesnych strzałach śrutowych, zasadniczo zwierz należy do tego myśliwego, który strzelał bliżej. różnica jednak poniżej 10 kroków przy odległości normalnej stanowisk 50—80 kroków nie powinna być brana w rachubę.

Jeżeli więc różnica odległości była mniejsza, niż wymienione 10 kroków — zwierza należy losować. Przepisy te mają zastosowanie naturalnie o tyle, o ile obaj myśliwi — trafili.

Trafienie to rozpoznać można po śladach i kierunku śrutu na śniegu, czy ziemi, ewentualnie krzakach i pniach drzewnych. Również ślady śrutów na sukni

zwierza, czy ciele ptaka nie są zbyt trudne do stwierdzenia. W razie jednak niemożliwości stwierdzenia powyższego, zwierza należy losować.

Zaznaczam tu jeszcze, że jeżeli wolno jest strzelać tylko w lewą stronę, to zwierzyna zabita należy przy jednoczesnych strzałach zawsze do myśliwego, który strzelał w lewo.

Przy strzałach śrutem do wilków, lisów czy rysi — najlepiej jest zawsze przed wyrokiem zwierza obielić.

Często się zdarza, że drugi myśliwy strzela już do zwierza rulującego, w tym wypadku należy specjalnie dokładnie przetropić ślady strzału, które zorientują, czy strzały były równoczesne, czy też ostatni strzał oddano do trupa. Na sprawę tę należy zwrócić baczną uwagę, gdyż są specjalni strzelacze, strzelający do spadających ptaków, czy koziołkujących zajęcy i przyznający się potem do każdej zabitej przez sąsiada zwierzyny. Plagę tę należy tępić.

III. RÓWNOCZESNY STRZAŁ KULOWY I ŚRUTOWY

W zasadzie sztuka należy do tego myśliwego, który strzelał kulą, jednak zasada ta winna być odrzucona w wypadku strzału kulą na cudze stanowisko, jak również w wypadku, gdy wolno jest strzelać tylko w lewo, a gdy myśliwy z bronią kulową strzelał w stronę prawą.

Jako przykład podaję następujące zdarzenie:

Na polowanu w Poleskim Towarzystwie Myśliwskim p. P. strzelił do basiora, znajdującego się 12 kroków od Tadeusza L., który jednocześnie wsadził nabój loftek w pierś wilka. Wilk bezwzględnie należał do tego, który strzelał śrutem a był przysądzony niesłusznie temu, który strzelił kulę.

IV. RÓWNOCZESNE STRZAŁY KULOWE.

W tym wypadku zabity zwierz należy do tego myśliwego, który ulokował swą kulę śmiertelnie. Przyczym za strzał śmiertelny i dobry należy uważać strzał kulą — w łeb, kark, komorę, łopatkę, krzyż, wysoki brzuch, wątrobę. Strzał powodujący strzaskanie dwóch nóg zwierza jednocześnie, choć powodujący zatrzymanie sztuki na miejscu, winien być uznany przy drugim jednoczesnym dobrym np. komorowym — za zły, a nie zaś za śmiertelny.

W wypadku, gdy oba strzały były śmiertelne (z zachowaniem przepisów pod II i III) należy zwierzynę losować.

V. STRZAŁY ŚRUTOWE KOLEJNE.

Kwestia, która zachodzi najczęściej i wywołuje najwięcej sporów, obraz i pretensji — jest tak zwana zasada ongiś niewzruszona — ostatniego strzału śrutowego. Jest ona w zasadzie słuszna, ale winna być tylko w tych wypadkach stosowana, jeżeli zwierz strzelony nie został przez uprzednio strzelającego wogóle trafiony, lub został źle trafiony. Są jednak wypadki, gdy z całą pewnością można twierdzić, że strzelany przez pierwszego myśliwego zwierz czy ptak dalej by nie uszedł. Do takich wypadków należy ptak robiący świecę, lub lecący z dwoma opuszczonymi ku dołowi nogami, i zwierz wlokący się ze sparaliżowanym zadem, lub dwiema strzaskanymi nogami.

VI. STRZAŁY KOLEJNE ŚRUTEM I KULĄ.

Jako zasadę należy tu postawić, że zwierzyna płowa i dziki przyznane winny być temu myśliwemu, który strzelił śmiertelnie kulą, choćby nawet uprzedni strzał śrutem był śmiertelny.

Przy wilku, rysiu i innej zwierzynie decydować będzie pierwszy strzał śmiertelny. Co do innej drobnej zwierzyny będzie miał zastosowanie ustęp ostatni punktu V. Zwierzyna płowa i dziki dobite loftkami czy śrutem, a trafione przed tym dobrą kulą należeć winny zawsze do tego, który strzelał kulą, choćby między strzałami była różnica kilku godzin.

VII. STRZAŁY KOLEJNE KULĄ

Jeżeli zwierz otrzymał obie kule śmiertelne, to z zastrzeżeniem pkt. IV winien zwierz być przyznany temu, który strzelał pierwszy. Jeżeli jednak trafiony śmiertelnie zwierz przez pierwszego myśliwego szedł sztychowo na stanowisko myśliwego i w obrębie jego stanowiska został trafiony śmiertelnie — to zdobycz powinna należeć do tego ostatniego myśliwego.

Jeżeli w zabitym zwierzu jest wogóle jedna tylko kula, to arbitrzy muszą stwierdzić, który ze strzelających do tej sztuki myśliwych — trafił. W czasie ponowy, lub przy strzałach z dwóch różnych stron jest to łatwe do stwierdzenia, szczególnie gdy kula nie przebiła zwierza na wylot.

Jeżeli kula przebiła zwierza to wówczas arbitrzy winni pamiętać, że zasadniczo otwór wejściowy zrobiony przez kulę jest mniejszy od wyjściowego, poza tym, że jest on okrągły, a w każdym razie symetryczny i włos naokoło tego otworu jest jakby wygolony, a szerść znajduje się często w głębi rany. 0twór wyjściowy jest większy, o brzegach poszarpanych, nieforemny, często z wypchniętymi na zewnątrz trzewiami, lub pasmami płuc.

Jeżeli jednak obaj myśliwi strzelali z jednej i tej samej strony, to przy braku śniegu, który zdradza moment trafienia, zadanie jest dla arbitrów trudniejsze. Należy więc w tym wypadku stwierdzić kierunek strzału i kierunek kuli np. jeden myśliwy strzelał do boku, a drugi na ukos. Dla ułatwienia, przy małych odchyleniach kierunku strzału, dobrze jest zaznaczyć kierunek kuli, która zwierza przeszyła, patyczkami wetkniętymi z obu stron postrzału.

Jeżeliby stwierdzenia powyższe nie dały jeszcze arbitrom dostatecznie jasnego obrazu stanu faktycznego, należy zbadać kaliber broni myślwych, którzy strzelali. Przy równym kalibrze należy brać pod uwagę odległość, jaką może przejść trafiony śmiertelnie zwierz.

Frafiony na komorę idzie dzik i jeleń 50—150 kroków, rogacz 30—100 kroków. Na miękkie — dzik, jeleń 200—1000 kroków, rogacz 200—300 kroków. Przy strzale kulą o płaszczu H, lub Magnum — odległość ta może się skurczyć przy strzale na miękkie — do połowy.

Badaniom miejsca wlotu kuli należy poświęcać specjalną uwagę, gdyż często w czasie większych mrozów i przy małym kalibrze kuli rana wylotowa szczególnie na dziku — ściąga się, przestaje krwawić i jest w gęstej szczeci trudna do odszukania. Stwierdzenie trafienia danej sztuki kulą H-mantel — jest łatwe przy patroszeniu zwierza, gdyż odpryski kuli można znaleźć bez trudności, co ważne jest np. gdy jeden z myśliwych strzelał kulą o płaszczu H, a drugi półpłaszczową.

Tu znów podaję przykład:

Pamiętam wypadek, kiedy odyniec farbujący, jak z sikawki i idący wzdłuż całej linii, padł na skrzydle z ręki kolegi Tomasza Zana. Badanie wykazało jednak jeden postrzał. Więc?... Ostatecznie stwierdzono, że pierwsza zbyt pośpiesznie rzucona kula zniosła czubek gwizdu dzikowi, powodując niezmiernie ogfite krwawienie, jak to bywa zwykle z nosa. A ponieważ krew nosem oddaje również trafiony na komorę zwierz, zatem łatwo było ten mały szczegół, a tak bardzo istotny, przegapć i rozsądzić odyńca niesprawiedliwie.

VIII. STRZAŁY RÓŻNYMI KALIBRAMI I RODZAJAMI KUL.

Poza nabojami kul kal. 22 i 5,6 Firling, których zasadniczo nie wolno używać na grubego zwierza, strzały śmiertelne, na komorę, w łeb, kark i krzyż z innych kalibrów należy uważać na prawie równorzędne.

Istnieją jednak kalibry i rodzaje kul wybitnie słabe i inne bardzo mocne, na które należy zwrócić specjalną uwagę.

Do słabych kul zaliczam kulę Brenecke z gładkiej lufy dubeltówki, przyczym strzał powyżej 70 kroków należy uważać za pozbawiony prwaie efektu oraz starych, wycofanych zresztą z obiegu sztucerów o kalibrze 8 × 360 9,3 × 70 (ołowiana kula), które nie spełniają zadania szybkiego zabijania.

Przy użyciu tych ostatnich kul i przy większych odległościach dla kul Brenecke strzałów na niską łopatkę i brzuch nie można uważać za śmiertelne. Również ze względu na dużo mocniejsze działanie kul H. Mantel, przy dwóch strzałach trafnych, np. jeden H. Mantel, a drugi półpłaszczową kulą w niski brzuch strzelonego zwierza należy przyznać zwierza temu myśliwemu, który strzelał kulą o płaszczu H.

Zaznaczam w tym miejscu, iż często przy strzałach kulą H. Mantel otwór wejściowy jest większy od wyjściowego. Przy strzale kulą Brenecke otwór wejściowy i wyjściowy kuli są prawie równe, jedynie wyjściowy jest nieco mniej foremny.

Pamiętam, że strzelałem prawie równocześnie w Kuflewie z T. Lilpopem, z którym staliśmy na sąsiednich stanowiskach. On do rogacza, a ja do dzika. Wycinka spudłowałem i jakież było moje zdziwienie, gdy Tadeusz zawołał, iż kozioł, do którego on strzelał, należy do mnie. Po wyjaśnieniu Lilpop zorientował się, że figla spłatał H. Mantel, a jego kula siedziała na komorze, zostawiając mały otwór wejściowy.

Otwór wejściowy, dużo mniejszy od wyjściowego, tłumaczy się tym, że część kuli z miękkiego ołowiu rozpryskuje się w środku zwierza kompletnie, a przebija zwierza tylko drobna druga część z twardego ołowiu.

Pamiętam też tak charakterystyczną scenę, kiedy to strzelałem razem z inż. Tołłoczko w Kijowcu do stada dzików. O 50 kroków za linią leżały dwa warchlaki, oba strzelane — jak to wyglądało — ze strony lewej i tym samym trafione przez kolegę Tołłoczko. Ja też nie miałbym żadnej pretensji do zdobyczy, gdyż rany większe wlotowe były wyraźne, gdyby nie to, że kolega Tołłoczko oświadczył, że najwyżej może mieć pretensję do jednej sztuki, zdążył bowiem tylko jeden raz pociągnąć za cyngiel.

IX. STRZAŁY RÓWNYMI GRUBOŚCIAMI ŚRUTU.

Przed wydaniem decyzji, jeżeli chodzi o zwierzynę grubszą, winni arbitrzy przed obieleniem sztuki zażądać od obu myśliwych którzy strzelali, po kilka ziarnek śrutu identycznego z wystrzelonym.

Po ściągnięciu skóry po przeciwnej stronie strzału, łatwo jest znaleźć poszczególne ziarka, które, porównane z otrzymanymi, ułatwią stwierdzenie do kogo należy zabita sztuka.

Przy strzałach do wilka i rysia przy odległościach strzału powyżej 20 kroków — należy przyznać zdobycz temu myśliwemu, który strzelał śrutem grubszym niż 3,75 mm.

X. UWAGI OGÓLNE.

Zaznaczam, że w wypadku, gdy dwaj myśliwi mają losować dwie sporne sztuki, należy od losowania odstąpić i przyznać każdemu z myśliwych — po jednej. Natomiast praktykowany czasami zwyczaj dzielenia zabitej sztuki — między tych co strzelili do niej — uważam za niedopuszczalny — naprzykład: ćwiartowanie odyńca na szable i mięso. Sposobu tego nie należy w żadnym wypadku stosować, a już specjalnie dzielić mięso, które ma być potem spieniężone.

Na zakończenie parę uwag natury ogólnej.

Nic tak nie psuje miłego nastroju na łowach, a który to nastrój jest wart co najmniej połowy przyjemności, jaką daje polowanie — jak kłótnie o zabitą zwierzynę.

Niezmiernie ważną rzeczą będzie, by myśliwi, którzy mają sporną sztukę, przystępowali do rozsądzania jej spokojnie, obiektywnie i z dobrą wiarą w arbitrów. Zrozumiałą jest rzeczą, że podniecenie zdobyciem grubszej sztuki usprawiedliwia gorącą krew łowcy, ale ta gorąca krew na wynik sądu może podziałać tylko... jak szklanka zimnej wody, co sprawy nie poprawi, a nastrój łowów popsuje.

Podchodźmy więc do sporów o zabitą zwierzynę z umiarem, opanowaniem nerwów, a nic ani nikt cudownej atmosfery, jaką sprawiają łowy, nie będzie w stanie zmącić.

ZAKOŃCZENIE.

Zdarza się jednak, że zdawałoby się pomyślane, przedyskutowane i sprawdzone na miejscu, nie budzące żadnej wątpliwości wyroki Wysokiego Sądu Arbitrów przy spornych strzałach mogą być omylne.

I tu jedynie wysokie wyrobienie myśliwskiej etyki może być instancją odwoławczą od już wydanego wyroku.

Tak jak zacząłem pozwolę sobie pracę niniejszą zakończyć przykładem. Przykładem rzadko spotykanym i chyba pozostawającym wspanialsze wspomnienia niż samo trofeum.

Na jesiennym polowaniu w roku 1903 po czarnej stopie w Lackiej Puszczy szedł wspaniały byk wzdłuż linii myśliwych. Strzelony przez Aleksandra Szwedego i chybiony padł w chwili otrzymania komorowej kuli od Stanisława Lilpopa.

Sporu właściwie nie było, ale łowczy dla przypieczętowania śmierci wspaniałego 22-taka, stwierdził jedną tylko kulę na sukni zwierza.

Złom świerczyny na kapeluszu Prezesa Lilpopa, parę serdecznych uścisków dłoni i butelka Burgunda — zdawało się zakończyły całą tę sprawę. Tymczasem jakież było zdziwienie Aleksandra Szwedego, kiedy następnego dnia otrzymał przez umyślnego wieniec kapitalnego byka z serdecznym bilecikiem od kol. Lilpopa, zawiadamiającym, że w ćwiartowanym już jeleniu znaleziono kulę kal. 10,75, podczas gdy on strzelał z angielskiego sztucera kal. 500, a więc byk tym samym należy do właściciela Heimowskiego ekspresu.

Co się stało z wieńcami dwu dwudziestaka, nagrodzonego zresztą złotym medalem na wystawie łowieckiej w Warszawie w 1912 roku nie wiem, choć po śmierci Aleksandra Szwedego znajdowały się one w zbiorach Stanisława, później Tadeusza Lilpopa. Prawdopodobnie spłonęły na Placu Małachowskiego podczas Powstania Warszawskiego.

Pamięć o czynie pozostała trwalsza i niech będzie pomnikiem po Tych, którzy przez całe lata nieśli sztandar Św. Huberta najwyżej. *Z. KOWALSKI.*



STEFAN WIKTOR

Ostrzegawcze głosy i ruchy w łowisku

Myśliwi początkujący na ogół nie zwracają uwagi na tzw. ostrzegawcze głosy i ruchy w łowisku. Gdy lecimy samolotem, albo jedziemy autem, a motor pracuje równo i miarowo, siedzimy spokojnie, miarowy głos motoru niejednego pasażera nawet usypia. Gdy jednak motor zacznie pracować przerywanie, nieregularnie, lub usłyszymy zgrzyty w motorze — wszyscy pasażerowie okazują niepokój i zdenerwowanie. Tak samo dzieje się i w kniei; gdy panuje normalny spokój i cisza, może myśliwy iść, czy też stać na stanowisku,bez szczególnego wytężenia uwagi. Gdy jednak usłyszy jakieś szmery lub głosy, należy zaraz zwrócić w tę stronę uwagę i zastanowić się, co jest tego powodem, dlaczego dany zwierz lub ptak je wydaje. Wszystkie bowiem odgłosy i szmery w rewirze mają swoje znaczenie i są zawsze uzasadnione.

Wielu myśliwych nieuświadomionych nie zwraca, dajmy na to uwagi, na skrzeczenie wiewiórki, a to ma przecież zawsze swój powód. Zobaczyła ona w pobliżu napewno jakiegoś drapieżnika i ostrzega przed niebezpieczeństwem. Podam tu kilka charakterystycznych przykładów.

Siedząc raz na skraju zrębu pod ścianą kultury, słyszałem dosyć długo przeraźliwe piszczenie małej sarny. Ponieważ trwało to za długo, a zatem wydało mi się nienaturalne, zacząłem ostrożnie podchodzić i natrafiłem na rzucającą się kozę, świeżo złapaną w sidła, którą zdążyłem jeszcze na czas uwolnić z tych morderczych więzów i uratować życie matce i dziecku, które bez matki byłoby skazane na śmierć głodową.

Idąc w górach ponad głębokim, gęsto zarosłym potokiem, zauważyłem zdala 2 spokojnie ciągnące wrony, które w pewnym miejscu naraz pod kątem ostrym zmieniły swój kierunek lotu i znacznie go przyspieszyły. Wydało mi się to podejrzane i zaciekawił mnie powód tej raptownej zmiany. Zacząłem zatem ostrożny pochód do tego miejsca. Rezultat był wprost nieoczekiwany. Natknąłem się na kłusownika ze strzelbą w ręku, który wprawdzie sam uciekł, lecz strzelbę rzucił w krzaki, którą odszukałem i zabrałem.

Wracając raz lasem już zupełnie po ciemku, późno wieczorem, słyszałem przy chacie pod lasem długie, przeciągłe i żałosne wycie psa. Zaciekawiony co by to miało za powód, przyszedłem do chaty, koło której nic podejrzanego nie zauważyłem. Przyglądając się uważnie psu, widzę, że był zwrócony pyskiem ciągle w jedną stronę. Wziąwszy latarnię z chałupy i chłopca do pomocy poszliśmy w kierunku wskazanym przez psa i mniej więcej około 120 m od chaty w lesie znaleźliśmy powieszonego chłopa na gałęzi.

Innym razem, idąc w podgórskim rewirze po południu na podchód do zrębu, usłyszałem krzyk 2 kosów. Zbliżywszy się do nich zobaczyłem je siedzące nisko na krzaku nad ziemią, zaś pod krzakiem dużego zdziczałego kota, którego udało mi się strzelić; przemyśliwał on z pewnością nad tym, jakby jednego z tych ptaszków złapać.

Idąc w maju drogą wśród niskich kultur, widzę lecącego paszkota, który naraz wzbił się w górę. Zrobiło to na mnie wrażenie, że niespodziewanie się czegoś przeląkł. Istotnie w owym miejscu natrafiłem na sidła, w które złapała się wiewiórka.

Jednego roku, podczas rykowiska, w Karpatach, zauważyłem krążące w jednym miejscu z wielkim krzy-

kiem kilka wron i srok. Mimo dość dużej odległości zacząłem w tę stronę pochód, a gdy przyszedłem na miejsce, oczom moim przedstawił się niespodziewany widok. W maliniakach koło dużej kłody leżał nieżywy jeleń, dobry czternastek, którego 2 dni przedtym postrzelił mój znajomy w sąsiednim rewirze.

Sroki, wrony, sójki i orzechówki, gdy zobaczą w łowisku lisa, psa, kota lub innego drapieżnika podnoszą zaraz przeraźliwy krzyk, jako głos ostrzegawczy. Przy pomocy krzyku tych ptaków można się nieraz orientować, w których kierunku zwierz, którego się śledzi w łowisku, idzie. Gdy jastrzębie, kruki, wrony i sroki krążą z krzykiem wkoło w jednym miejscu, jest to nieomylnym dowodem, że musi się tam znajdować nieżywa zwierzyna (sarna, zając lub inny zwierz albo ptak).

Ale przytrafić się mogą i rzeczy wesołe. Siedząc raz w piękny wieczór lipcowy nad zrębem gęstej kultury, usłyszałem naraz przeraźliwie krzyczącą sójkę niedaleko na pojedyńczo stojącym buku. Rzecz zrozumiała, że idę wolno i ostrożnie, by zbadać powód tego przerażenia. W ten sposób podszedłem do zakochanej parki pod bukiem, niespodziewającej się w tym miejscu i o tym czasie żadnych ludzkich świadków.

Myśliwy powinien zawsze i wszędzie zwracać baczną uwagę na każdy odgłos, szmer i ruch, nawet gdy mu się zdaje, że te różne głosy, jak również niespodziewane ruchy (np. ucieczka sarn lub zajęcy z żerowiska) nie mają żadnego poważniejszego znaczenia, a jednak są one zawsze czymś spowodowane.

Tak samo rano lub wieczór, gdy las jest rozśpiewany świergotem różnych ptaszków i naraz wszystko ucichnie, jest to także przestroga, najczęściej przed nadciągającą burzą. Łoskot spadającego kamyczka z brzegu, chrupnięcie złamanej gałązki, lub zgrzyt metalu oznajmia nam prawie zawsze rabusia w najrozmaitszej postaci: wilka, rysia, lisa, psa, kota, łasicę, jastrzębia, a wreszcie i człowieka.

Szczególną uwagę powinien zwracać na tego rodzaju głosy i ruchy w łowisku myśliwy hodowca, który dba o swój zwierzostan i podczas podchodów po rewirze niszczy i strzela szkodliwe drapieżniki.

A zatym koledzy spod znaku św. Huberta, trzeba mieć nietylko otwarte oczy, ale także i uszy w łowisku i na wszystko podejrzane i nienaturalne zwracać baczną uwagę. Przysporzy to nam dużo chwil emocjonujących i ciekawych, a także pokaże i wyjaśni niejeden dramat w naturze.

Stefan Wiktor

Z działalności Międzynarodowej Rady Łowieckiej

Czynna przed ostatnią wojną Międzynarodowa Rada Łowiecka (Conseil International de la Chasse, w skrócie CIC), która przysłużyła się dobrze sprawie łowiectwa nie tylko przez zadzierzgnięcie więzów pomiędzy myśliwymi całego świata, ale i przez zrealizowanie konkretne kilku spraw dużego znaczenia, jak: ustalenie jednolitych metod oceny trofeów myśliwskich, ujednostajnienie kalibrów i numeracji śrutu, opracowanie przepisów ochrony ptaków przelotnych, zaprojektowanie ułatwień w międzynarodowym obrocie broni myśliwskiej i amunicji i t. p. — po przymusowej przerwie wojennej wznowiła swą działalność.

W dn. 30 czerwca oraz 1 i 2 lipca odbyły się w Paryżu z inicjatywy i pod przewodnictwem dotychczasowego prezesa Rady, p. Maxime Ducrocq, obrady (Reunion d'etudes) członków Rady, których udało się odnaleźć po wojnie, delegatów rządowych niektórych krajów, w których uprawiane jest łowiectwo, oraz przedstawicieli Międzynarodowego Związku Strzelectwa Myśliwskiego (Fédération Internationale de tir aux armes de chasse). Z ramienia Polskiego Związku Łowieckiego wzięli w obradach udział koledzy: Janusz Regulski i Aleksander Tallen Wilczewski.

Delegaci nasi zdali na Walnym Zgrom. w dn. 26.X. sprawę z ogólnego przebiegu obrad, tutaj podajemy wyciąg ze sprawozdania członka Rady i wiceprezesa naczelnej organizacji łowieckiej we Francji „St. Hubert Club de France", p. Hettier de Boislambert, o stanie łowiectwa po wojnie w niektórych krajach Europy, oraz treść powziętych na zgromadzeniu Międzynarodowej Rady Łowieckiej uchwał.

A. STAN ŁOWIECTWA PO OSTATNIEJ WOJNIE.

Francja. — W 1939 r. Narodowy Komitet Łowiecki, dążąc do ochrony zwierzyny łownej, wprowadził na obszarze 1.615.618 ha rezerwaty, chronione przez strażników łowieckich i zasilone przez wpuszczenie do nich dużej ilości zajęcy i kuropatw. Dziś wynik tych zabiegów, jak informuje p. le Marié, jest niemal całkowicie zniszczony. Zwłaszcza ucierpiało południe Francji, na które głównie skierowane były wysiłki Komitetu. Stan zwierzyny tam jest wprost katastrofalny.

W okręgach równinnych Francji oraz w Sologne kuropatwy zniknęły całkowicie. Uchowały się ich resztki w partiach zadrzewionych i jeżeli okres gniazdowania będzie pomyślny, może uda się je rozmnożyć. Jest rzeczą ciekawą, że okres wojny lepiej przetrwały kuropatwy czerwone, niż szare, przebywające na przestrzeniach otwartych. One też głównie padały ofiarą kłusownictwa z użyciem źródeł światła, szeroko stosowanego podczas wojny.

Bażanty na obszarze całej Francji uległy dużemu zmniejszeniu, co spowodowały zarówno ciągłe naganki, urządzane przez okupantów niemieckich, jak i brak opieki. Odwrotnie, ilostan zajęcy w okresie wojny wzrósł. Natomiast obecnie daje się zauważyć szybkie jego zmniejszenie z powodu wprowadzenia nowego prawa, upoważniającego każdego właściciela nieruchomości do wykonywania na niem polowania. Poza tym w niektórych departamentach, np. du Doubs, wybuchła groźna epidemia Tularemii.

Wśród zwierzyny grubej znaczne zmniejszenie ilostanu wykazują jelenie i łanie, a w niektórych okręgach także sarny. Natomiast podczas inwazji notowany był duży wzrost ilości dzików, o charakterze jednak czasowym.

Za przyczynę zmniejszenia pogłowia zwierzyny uważa sprawozdawca trzy momenty:

1. ustanie od r. 1939 wszelkich zabiegów hodowlanych, 2) wzmożenie ilości drapieżników, których od-

strzał był podczas okupacji wzbroniony, a obecnie utrudniony dla braku amunicji, 3) kłusownictwo, a zwłaszcza wnykarstwo i łowy na światło, które stosowano bezkarnie, bo zarządzenie okupanta, przekazujące te przekroczenia sądom polowym, uniemożliwiało ich ujawnianie.

Jeżeli chodzi o przyszłość łowiectwa francuskiego, to istnieje nadzieja na możność jego odrodzenia. Prawem z dn. 28 czerwca 1941 r. dotychczasowy Narodowy Komitet Łowiecki zastąpiony został przez Naczelną Radę Łowiecką (Conseil Supérieur de la Chasse), której prezesem jest każdorazowy Dyrektor Naczelny „des Eaux et Forets". Obecny Dyrektor, p. Dutey, jest wybitnym myśliwym, to też w uznaniu potrzeby odbudowy zwierzostanu założył on na terenach wspaniałej posiadłości de Chambord park hodowlany dla rozmnoży drobnej zwierzyny, głównie bażantów, ale również dla jeleni i sarn. Park ten, o obszarze 5 tys. ha, w tym 4 tys. ha lasów, przecięty rzeką le Cosson, otoczony jest murem i zapewnia należytą ochronę zwierzyny. Dawny rezerwat w Camargue stwarza dzięki swym licznym stawom i błotom idealne warunki dla rozmnoży wszelkiego rodzaju ptaków przelotnych. Równocześnie stworzono nowe rezerwaty dla kozic w Grande Chartreuse i na Pic du Midi i zaprojektowano stworzenie parku dla jeleni w lasach de Belleval.

W. Brytania. — Mylistwo na wyspach brytyjskich ucierpiało od wojny b. poważnie, głównie wskutek zaniedbania zabiegów hodowlanych. Do tego przyłączyły się obecnie braki aprowizacyjne, to też odbiło się to przede wszystkim na zwierzynie, wymagającej dokarmienia, a więc głównie na bażantach. Zabiegi właścicieli wielkich posiadłości, będących głównym rezerwoarem tej zwierzyny, są hamowane przez nałożenie na obszarników wysokich podatków.

W Szkocji, gdzie leżą główne tereny łowieckie, straty w zwierzostanie, według oświadczenia p. Franka Wallace, spowodowały długie postoje wojsk, skoncentrowanych tam przed rozpoczęciem inwazji, oraz surowa zima 1940 r. Z mrozów i nadmiernie wielkiej pokrywy śnieżnej zginęło wówczas ponad 25 tys. jeleni i tyleż padło z rąk kłusowników, wojskowych i cywilnych. Na zmniejszenie zwierzyny drobnej wpłynęło również rozmnożenie podczas wojny drapieżników czworonogich i skrzydlatych, nie odstrzeliwanych we właściwym czasie i w należytej ilości. W jednym hrabstwie Inverness zabito w ostatnich 9 miesiącach ponad 1400 lisów.

Jelenie szkockie, otoczone po wojnie opieką, odradzają się, i w sezonie bieżącym przewidziany jest odstrzał 4—5 tys. sztuk byków i tyleż łań.

Belgia. — Łowiska belgijskie były przez okupanta niemieckiego wyzyskiwane dla celów aprowizacyjnych i przez to samo zostały poważnie wyniszczone. Utrzymała się zwierzyna lepiej w pewnych łowiskach zarezerwowanych dla dygnitarzy okupacyjnych. Zabiegi powzięte niezwłocznie po zakończeniu działań wojennych pozwoliły już, zdaniem p. de Smet, doprowadzić niektóre obwody łowieckie do stanu normalnego, pozostałe jednak, a jest ich większość, będą wymagały jeszcze paru lat starań hodowlanych.

Pewną pomocą w tym kierunku jest wprowadzenie obostrzonych terminów ochronnych, zwłaszcza dla ptactwa wodnego. Niektóre brodźce zostały objęte całkowitą ochroną, polowanie na wszelkie kaczki zamyka się z końcem lutego, zaś na kszyki — po 31 marca. Całkowicie chronione są kury bażancie, zaś polowanie na jelenie, kozły i zające — ograniczone do b. krótkiego okresu.

Dania. — Zniszczenia w zwierzynie, spowodowane przez okupanta, są tak duże, że, zdaniem prezesa Andersena, trzeba oczekiwać, iż dopiero po 3 — 4 latach uda się wrócić do stanu przedwojennego. Większość broni myśliwskiej, wartości co najmniej 500 tys. koron, została w Danii zabrana przez Niemców, aczkolwiek zasadniczo polowania nie były wzbronione i można było otrzymać i kartę łowiecką i prawo do posiadania jednej strzelby i nawet karabinu. To też w 1944 r. liczba kart łowieckich osiągnęła rekordową liczbę 120 tysięcy.

Po zakończeniu wojny wznowiła swą działalność Łowiecka Liga Narodowa, jednocząc 34 tys. członków i rozwijając ożywioną pracę... Stan zajęcy i królików znakomicie się poprawił, oraz wzmógł się bardzo odstrzał lisów i innych zwierząt futerkowych, wywołany wysoką ceną futer. Zmusiło to nawet Dansk Havgatforening do wniesienia propozycji czasowego zamknięcia polowania na foki i wydry.

Kaczki wszelkich odmian są dziś bardziej liczne, niż poprzednio, co tłumaczyć należy brakiem nabojów. Natomiast daje się zauważyć zmniejszenie ilości nurów, dzikich gęsi, słonek i kszyków.

Luksemburg. — Prawo łowieckie, wprowadzone w dn. 20 lipca 1925 r., odpowiadało całkowicie potrzebom kraju i dało wyniki imponujące. W dn. 1 kwietnia 1941 r. zastąpione ono zostało przez okupanta przepisami prawa niemieckiego. Dopiero po wojnie, według oświadczenia p. Muller-Tasch, nastał chaos w stosunkach łowieckich. Zdobycie na ustępującym wrogu licznej broni wojskowej rozpętało wśród ludności W. Księstwa istną furję kłusowniczą, której ofiarą padała cała zwierzyna, która pod lufę się nawinęła. Naczelna Rada Łowiecka rozpoczęła z tym zjawiskiem zorganizowaną walkę i od jej wyników zależeć będzie przyszłość łowiectwa w Luksemburgu.

Węgry. — Obszerne sprawozdanie p. Kiss de Nemesker, stwierdzające zniszczenia wojenne, przewiduje możność całkowitego ich wyrównania dzięki środkom przedsięwziętym zaraz po zakończeniu działań wojennych. Na podstawie ustawy z marca 1945 r. nastąpiło wywłaszczenie wszystkich posiadłości ziemskich, a w związku z tym rozporządzanie prawem polowania przeszło na państwo. Wydział Łowiectwa przy Ministerstwie Rolnictwa podzielił kraj na 3 tys. obwodów łowieckich, utworzył rezerwaty w obwodach najlepszych, a pozostałe wydzierżawił Kołom myśliwskim. Czynsz dzierżawny idzie do skarbu państwa i obliczony jest na podstawie ceny rynkowej zwierzyny. Liczba członków w Kołach myśliwskich uzależniona jest od rodzaju zwierzyny i obszaru i powinna być tak obliczana, aby w obwodach leśnych z grubą zwierzyną na 1 członka przypadało najmniej 500 ha dzierżawionych obszarów, w obwodach z przewagą sarn — najmniej 250 ha, w obwodach ze zwierzyną drobną — najmniej 150 ha. Koła myśliwskie obowiązane są utrzymywać strażników łowieckich co najmniej jednego na każde 1500 ha obszaru. Obwody łowieckie pozostają pod nadzorem urzędowych inspektorów. Całość obwodów podlega władzy Szefa Wydziału Łowiectwa. Myśliwi poddawani są egzaminom, które jedynie uprawniają do otrzymania karty łowieckiej.

Co się tyczy stanu zwierzyny, to zajęcy jest dużo, ilostan kuropatw nawet się zwiększył. Zato ilość bażantów spadła wskutek surowych zim. Sarny są liczne i w dobrym stanie, stan jeleni wystarczający. Zato dziki rozmnożyły się bardzo.

Norwegia. — P. Franč Rosenberg (znany wielu kolegom z P. Z. Ł.) informuje, że dawna organizacja łowiecka i rybacka (Norges Jeger og Fiskerforbund) przetrwała, ale równocześnie powstał nowy Związek łowiecko-rybacki robotniczy. Obie organizacje złożyły parlamentowi wnioski o nowelizację prawa łowieckiego, przy czym wnioski Związku robotniczego idą w kierunku demokratyzacji przez cafnięcie dotychczasowej zasady prawa wyłączności polowania na obszarze własnym.

Zwierzyna ucierpiała znacznie od działań wojennych; dotyczy to zwłaszcza stanu głuszców, cietrzewi i pardw, które zniknęły z pewnych obwodów. Dużo łosi padło z rąk wojskowych i cywilnych kłusowników; podobnież uległy zmniejszeniu duże stada renów, tak pieczołowicie hodowane przez p. Heiberga.

Turcja. Wojna nie odbiła się szkodliwie na zwierzostanie Turcji. Przeciwnie, brak amunicji i utrudnienia transportowe wpływały raczej korzystnie na naturalny rozwój zwierzyny. Ale ciężkie zimy 1941 i 1942 r. spowodowały duże straty. Obowiązujące prawo łowieckie z 1937 r., acz przyczyniło się do uporządkowania stosunków łowieckich w Turcji, bo spowodowało powstanie w każdym Wilajecie (departamencie) rady łowieckiej, której przewodniczy Vali, a w skład której wchodzą przedstawiciele rolnictwa, leśnictwa i weterynarii oraz 2 członków z pomiędzy kół myśliwskich, to jednak dziś uznane zostało za wymagające nowelizacji. Stan zwierzyny Turcji jest bardzo urozmaicony, bo obok zwierzyny, właściwej Europie Zachodniej, jak: jeleń, sarna, zając, lis, kuropatwa, przepiórka, bekas itp., posiada ona leopardy, niedźwiedzie, rysie, dropie, frankoliny oraz ogromne ilości wszelkiego ptactwa przelotnego, które zatrzymuje się tu w swej drodze na północ, czy południe, względnie gnieździ się w Turcji.

B. UCHWAŁY MIĘDZYNARODOWEJ RADY ŁOWIECKIEJ.

I

„Jest wysoce pożądane, aby Międzynarodowa Rada Łowiecka, która przed i w czasie wojny oddała sprawie łowieckiej w całym świecie tak znaczne usługi, prowadziła i rozwijała w dalszym ciągu swoją działalność przy współudziale przyjaciół łowiectwa i poparciu rządów wszystkich krajów.

W związku z tym zmiana statutów Rady nie wydaje się konieczna, za wyjątkiem sprawy tyczącej się wysokości składek członków rzeczywistych i członków-korespondentów oraz subwencji od rządów, które muszą być podwyższone w związku ze spadkiem wartości walut.

Pożądanym jest, aby wszystkie kraje posiadające Związki Narodowe Łowieckie, lub jedno ogólne czy kilka poważnych stowarzyszeń myśliwskich, były reprezentowane w Międzynarodowej Radzie Łowieckiej oraz uczestniczyły w kosztach jej działalności".

II

„Pożądanym jest zwołanie Walnego Zgromadzenia członków Międzynarodowej Rady w celu obioru nowych członków oraz wybrania Biura Rady na 1948 r., jeżeli warunki pozwolą Prezesowi zorganizować Zgromadzenie przed 1948 r., względnie w czasie możliwie rychłym".

III

„Wobec tego, że stan myślistwa w ogólności, wskutek zmniejszenia się liczby zwierzyny w różnych krajach, uległ znacznemu pogorszeniu, warunkiem zasadniczym jego odbudowy jest wprowadzenie zarządzeń, któreby pozwoliły na stworzenie rezerwatów oraz na podjęcie bezwzględnej walki z kłusownictwem.

W związku z tym należy zwrócić specjalną uwagę zainteresowanych krajów na sytuację rezerwatów dla grubej zwierzyny, w których wojna spowodowała znaczne straty, jak np. w rezerwacie w Gran Paradisio w dolinie d'Aoste we Włoszech.

Odbudowa tych rezerwatów i utworzenie nowych jest ze wszechmiar pożądane.

Odnosi się to również do rezerwatów dla ptactwa przelotnego".

IV

„Specjalnej opieki wymagają rezerwaty, które zabezpieczają zachowanie zwierząt, którym grozi zanik.

Przede wszystkim należy żądać, aby te gatunki rzadkiej zwierzyny nie były wykorzystywane przez przemysł konserw żywnościowych".

V

„Jest pożądanym, aby polowania na słonki, przepiórki, ptactwo morskie, błotne i wybrzeżne były praktykowane wyłącznie przy pomocy strzelby, za wyłączeniem sideł, klatek, sieci, sznurów, lepów, latarń ręcznych i wszelkich innych środków niszczenia masowego.

Polowania takie winny być zaprzestane z początkiem okresu gniazdowania we wszystkich krajach, gdzie się takowe praktykuje.

Terminy otwarcia i zamknięcia polowania na ptactwo przelotne winny być ustalone w różnych państwach zgodnie z zaleceniami Specjalnej Stałej Komisji, mianowanej w tym celu przez C.I.C.

Pożądanym jest, aby skład Komisji tej został uzupełniony jak najszybciej staraniem Prezesa i aby Komisja wznowiła swoją działalność, zlecając w razie potrzeby jednemu lub paru członkom zbadanie kwestii, które zwrócą specjalną ich uwagę".

VI

„Pożądanym jest, aby C.I.C. okazała swoje poparcie moralne organizacjom, które postawią sobie za cel wznowienie i rozwój:

1) międzynarodowego turyzmu łowieckiego;

2) zaopatrzenie w drodze międzynarodowej wymiany w zwierzynę zarodową terytoriów, w których łęgowa zwierzyna została wyniszczona".

J. Gieysztor.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ

LIKWIDACJA WYPASU BYDŁA W LASACH

Wypas bydła w lasach, stanowiący jedną z najważniejszych przeszkód w prowadzeniu prawidłowej gospodarki łowieckiej, jest czynnikiem równie szkodliwym dla gospodarki leśnej. Oświetlenie tej sprawy ze stanowiska Lasów Państowych daje artykuł p. T. Łossowskiego, zamieszczony pod powyższym tytułem w Nr. 6 „Lasu Polskiego“.

Szkody, wyrządzane przez bydło i owce, są wielorakie. Gleba leśna, udeptana przez pasące się zwierzęta, zmienia swą strukturę, traci znaczną część drobnoustrojów, wiążących azot z powietrzem, i utrudnia odnowienie samosiewne takich terenów. Korzenie drzew zostają obnażone i ulegają mechanicznemu uszkodzeniu. Młode drzewka są bądź zjadane całkowicie, bądź ogryzane w sposób, uniemożliwiający ich wzrost i okrzepnięcie, co powoduje rozmnożenie pasożytniczych grzybów i szkodliwych owadów. Zniszczenie runa leśnego pozbawia glebę składników, które ją corocznie odżywiają, w postaci uschniętych traw, opadłych liści i szpilek.

Po wojnie obecnej stan ten uległ pogorszeniu wskutek przybycia nowego czynnika nieszczycielskiego — kozy. Głównie w miastach, ale również i w wielu osiedlach wiejskich, zwrócono się do hodowli kóz, jako najtańszego źródła mleka. Ofiarą ich wszystkożerności padają nietylko parki i zieleńce miejskie, ogrody prywatne, ale i wszystkie lasy podmiejskie. Według doniesienia z terenu Dyrekcji Radomskiej, na przestrzeni 40 ha istniały pod Kielcami przed wojną młodziki jodłowe 20 — 24 letnie, stanowiące trudny do przebycia gąszcz. Już na wiosnę 1934 r. sterczały na całej powierzchni tylko nagie kikuty drzew, z których zaledwie 1% jeszcze wegetowało. A było to sprawą wyłącznie kóz, których hodowla rozwinęła się dla tego, że było to jedyne stworzenie domowe, zwolnione od kontyngentu.

Nie mniej jaskrawo przedstawia się ta sprawa zniszczeń w lasach karpackich i tatrzańskich, wskutek wypasu na halach i śródleśnych polanach kolosalnych stad owiec i bydła. Niezagospodarowane hale i polany nie mogą wyżywić nadmiernej ilości sztuk, przyjętych na wypas, wobec czego juhasi starają się trzody te dożywiać w lesie. Badania prof. M. Sokołowskiego dowiodły znacznego obniżenia górnej granicy lasów w Tatrach, jedynie wskutek wypasów.

Usunięcie wypasów w lesie przekracza możliwości Zarządu Lasów Państwowych i osiągnięte być może jedynie przez równocześnie podjętą akcję wielu czynników. Zadaniem podstawowym jest bowiem utworzenie w całym kraju sieci należycie zagospodarowanych pastwisk i łąk z nieużytków oraz z tych gruntów ornych, które ze względu na położenie i wydajność plonów nie nadają się do racjonalnej uprawy. Zrealizowanie tego wymaga jednak zakazu zamiany łąk i pastwisk na rolę, przymusu uprawy i nawożenia tych gruntów i obowiązku racjonalnego ich użytkowania — a to wszystko wchodzi w zakres kompetencji Ministerstwa Rolnictwa.

Podobnież uregulowanie palącego zagadnienia pastwisk na halach i polanach górskich, urągających dziś elementarnym zasadom celowości, wymaga łącznej akcji Ministerstwa Rolnictwa, Leśnictwa i Administracji Publicznej.

To też likwidacja wypasu bydła w lasach nie jest rzeczą łatwą a jest tak pilną, że przeprowadzenie jej musi być postawione na plan najbliższy.

POMORSKI BIULETYN ŁOWIECKI

Ukazał się drugi zeszyt wydawnictwa Pomorskiej Rady Wojewódzkiej, o powstaniu którego pisaliśmy w Nr. 4-ym „Łowca Polskiego“. Zeszyt obecny poświęcony jest dzikowi, najliczniejszej zwierzynie lasów pomorskich, i treść jego wypełnia niemal w całości artykół Kol. J. Goetza pt. „W sprawie odstrzału i hodowli dzika“.

Stwierdzając, że ilostan czarnego zwierza przedstawia się dziś na Pomorzu lepiej, niż przed wojną, i że z uwagi na szkody czynione przezeń w plonach rolnych, koniecznym jest wzmożony jego odstrzał, autor kładzie nacisk na ujęcie odstrzału w pewien plan, oparty na dokładnym poznaniu stanu dzików w opolowanym rewirze. Plan ustali ilość sztuk z podziałem jej na wiek i wagę, przy czym uwzględniona być winna zasada oszczędzania egzemplarzy specjalnie nadających się na reproduktorów, aby w ten sposób utrzymać stan jakościowy zwierzyny w łowisku na możliwie wysokim poziomie.

Aby umożliwić podobną selekcję przyjęta musi być zasada, że latem i na jesieni strzela się dziki wyłącznie z zasiadki i na podchodzie, zaś z naganką tylko w zimie, przy śniegu umożliwiającym tropienie. Aby myśliwy miał możność sprawdzenia do czego strzela, czy nie jest np. locha przy małych, należy linię myśliwych odsunąć od zwartej ściany młodnika i ustawić w wysokim drzewostanie, pozwalającym na dokładne przyjrzenie się wychodzącemu z miotu stadu.

Odstrzał planowy powinien ograniczyć wybijanie sztuk największych, będących podstawą zwierzostanu, których ubytek spowodować musi skarłowacenie stada.

W związku z odstrzałem pozostaje równoważący go zabieg hodowlany — dokarmianie dzików zimą. Dzik jest w lesie stworzeniem pożytecznym, bo przekopując ryjem glebę otwiera dostęp do niej powietrza, a usuwa szkodliwe dla lasu poczwarki owadów, ale jeśli nie znajduje w lesie dostatecznego pożywienia — dzik wychodzi z lasu i wówczas niszczy plony rolne. Otóż, aby temu zapobiec, należy dzika zimą dokarmiać przez zadawanie mu suchej karmy, jak: żołądź, kasztany, ziarno zbóż, oraz karmy soczystej, jak: ziemniaki, marchew, rzepak — niezbędnej dla regulowania trawienia. Tę ostatnią paszę radzi autor nie rozsypywać wprost na ziemię, gdyż po zmarznięciu może ona nawet szkodzić zwierzynie, ale składać ją w kopcach z otrębów lub trocin, chroniących okopowe przed zmarznięciem.

Doskonałą karmę dla dzików stanowi również mięso wszelkich padłych zwierząt domowych.

Aby dziki nie odstraszać od miejsc dokarmiania, zaleca autor unikać dokonywania odstrzału w ich pobliżu. Zato miejsca te nadają się doskonale do obserwowania zwierzyny z ambon i jej obliczania przy układaniu planu.

Artykuł Kol. Goetza ma być odczytany na zebraniach Rad Powiatowych, poddany dyskusji, zaś ewentualne wnioski czy opinie Podkomisja Propagandowa prosi jej zakomunikować.

Zeszyt uzupełniają wiadomości o pokazie wyżłów w Chojnicach, rozporządzenie Ministra Rolnictwa o czasach ochronnych i informacje o nowych dubeltówkach, otrzymanych przez Spółdzielnię „Jedność Łowiecka".

J. Gieysztor



Z działalności Polskiego Związku Łowieckiego

OTWARCIE SIEDZIBY POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Dn. 25.X.1947 r. o godz. 10.45 po przywitaniu licznie przybyłych gości przez Prezesa Związku Gen. Bolesława Szareckiego, Protektor Polskiego Związku Łowieckiego Marszałek Polski Michał Żymierski dokonał otwarcia odbudowanej Siedziby Związku przy ul. Nowy Świat 35. Uroczystość zaszczycili poza tym swą obecnością: Gospodarz Polskiego Łowiectwa, Minister Bolesław Podedworny, Szef Sztabu Gen. Broni Korczyc i szereg innych przedstawicieli władz państwowych i wojskowych. Po krótkm podaniu celów i zadań stojących przed Polskim Związkiem Łowieckim przez VPrzewodniczącego Komitetu Wykonawczego Zbigniewa Kowalskiego, Marszałek Polski Michał Żymierski wygłosił dłuższe przemówienie, w którym podkreślił miejsce, jakie zajmuje dziś łowiectwo i myśliwi polscy w gospodarce krajowej oraz podał szereg wytycznych dla organizacji Polskiego Związku Łowieckiego. Przemówienie swe Marszałek Polski zakończył ofiarowaniem 100 książek myśliwskich dla odradzającej się biblioteki Związku.

Następnie goście zostali zaproszeni na skromne śniadanie. Urządzony w stylu starego domku myśliwskiego, z belkowaniami i kominkami, ozdobiony licznymi trofeami i łowieckimi fotografiami lokal wywarł na przybyłych miłe i swojskie wrażenie, przyczyniając się do naprawdę koleżeńskiego nastroju zebranych.

Kiedy Pan Marszałek po blisko dwugodzinnym pobycie opuścił Siedzibę Związku, Rada Naczelna przystąpiła do obrad. Były to pierwsze obrady władz Polskiego Związku Łowieckiego w odbudowanym lokalu przy ul. Nowy Świat Nr 35, pełnym tradycji 50-letniej ideowej pracy na niwie Polskiego Łowiectwa.

ZEBRANIA TOWARZYSKIE P.Z.Ł.

Z dniem 4 grudnia 1947 r. otwarty zostaje dla zebrań towarzyskich członków Polskiego Zw. Łowieckiego lokal Związku przy ul. Nowy Świat 35.

Zebrania odbywać się będą co czwartek (od godz. 17-ej) i urozmaicone będą odczytami i pogadankami. Do dyspozycji kolegów stać będą resztki ocalałego księgozbioru Związku oraz prenumerowane pisma, jak również skromny składkowy bufet z przekąskami.

NAGRODY DLA MILICJI OBYWATELSKIEJ ZA WALKĘ Z KŁUSOWNIKAMI

Pomorska Wojewódzka Rada Łowiecka, na wniosek Powiatowej Rady w Grudziądzu, przyznała trzem funkcjonariuszom M. O. w Grudziądzu, a mianowicie: kapr. Stańczykowi Bolesławowi, Lotarskiemu Jerze-

mu i Fabrowskiemu Jerzemu nagrody pieniężne w wysokości po 3.000 zł za wylegitymowanie i ujęcie 4 żołnierzy Armii Czerwonej, którzy w dniu 14 września r. b. kłusowali na terenie łowieckim Pomorskiego Klubu Myśliwskiego.

OD MINISTERSTWA LEŚNICTWA.

„W związku z przejęciem całokształtu spraw łowieckich przez Ministerstwo Leśnictwa, obowiązki Naczelnika Wydziału Łowieckiego objął z dniem 1 listopada b. r. Ob. Mieczysław Tchorznicki".

WALKA LUDNOŚCI Z DZIKAMI

W południowej części woj. Olsztyńskiego dziki stały się istną plagą dla miejscowej ludności. Małe poletka kartofli, wyłaniające się z prerii chwastów, są co noc atakowane przez szukające żeru dziki. Aby się przed nimi uchronić ludność stosuje najróżnorodniejsze sposoby. To też pola tu pełne są dziwacznych straszaków. Najczęściej zbite na krzyż polana obwieszone są łachmanami. Nadziany na szczyt żerdzi emaliowany garnek czy kubeł tworzy z straszaków figury, to dziada obwieszonego różańcami, to postać zakonnicy. Na wyciągniętych w poprzek ramionach krzyża uczepione są na sznurkach puszki od konserw, które przy podmuchu wiatru, uderzając się o siebie i wydając brzękliwe odgłosy, mają odstraszać dziki. Gdzieś dalej na zagrożonym od dzików froncie pola przeciągnięto drut stalowy, do którego na kołku uwiązany pies z dzwoneczkiem na szyi ma odganiać w nocy te żarłoczne bestie. Nie zawsze to widać pomaga, bo tuż za zasięgiem psiego łańcucha widnieją zryte kartofle. To też ludność najczęściej buduje drewniane szałasy, czy ambony, w których ktoś z rodziny właściciela w nocy pilnuje, paląc ognisko, czy wystawiając palącą się latarnię, a za zbliżeniem się dzików bijąc w beczkę od benzyny, jak w bęben.

Nie wesołe tu życie rolnika. Tak autochtoni, jak i świeżo sprowadzeni osadnicy polscy uprawiają skrawki pola, czyszcząc je z chwastów. Nasienia chwastów grubą warstwą zaścielają uprawione pola. Walka o rolę trwa uparta. Oby dała zwycięstwo.

J. Radlicki.

Ćwierćwiecze „Roku Myśliwego"

Są dzieła, które z biegiem czasu nie tracą nic ze swej wartości, ponieważ treść w nich zawarta, pomimo zmian, jakie zachodzą na świecie, pozostaje zawsze żywa i porywająca. Do takich dzieł bezspornie możemy zaliczyć kapitalną pracę p. Włodzimierza Korsaka, pod tytułem: — „Rok Myśliwego" z przedmową Józefa Weyssenhofa i 250 rysunkami autora. Książka ta była wydana nakładem Książnicy Narodowej w Poznaniu w 1922 r. w ilości 6.000 egzemplarzy.

Oceniając literacką wartość tego dzieła, J. Weyssenhof wyraża w przedmowie wątpliwość, czy zaliczyć je do poezji, czy też do dzieł naukowych, autor bowiem zgromadził w tej książce cały materiał poetyczny myślistwa, z drugiej zaś strony jest to podręcznik dla polskiego myśliwego pisany przez uczonego przyrodnika, a obejmujący całość naszej fauny łowieckiej i wszystkie praktykowane u nas rodzaje polowań. Te same wątpliwości zachodzą przy ocenie pięknych rysunków. I J. Weyssenhof przychodzi do przekonania, że w osobie Wł. Korsaka mieści się i naukowiec, technik i osobliwy, indywidualny artysta.

W końcu przedmowy J. Weyssenhof pisze:

„W przyszłej Polsce, gdy się nareszcie ustatkuje i przyjdzie do ładu, zajęcia ludzkie odwieczne i chwalebne powinny być na swoich miejscach. Gdy nawet duch czasu i reform wprowadzi w nasz obyczaj codzienny wiele nowych zajęć i obowiązków, ufam, że nie wyprze z życia zabaw tak przyjemnych i kształcących duszę, jak myślistwo.

Właściwe, szlachetne łowiectwo zasadza się na wniknięciu człowieka wgłąb przyrody, która dzika jest tylko ze stanwiska kultury ludzkiej, lecz mądrzejsza od wszelkich dzieł ludzkich".

Do tej oceny trudno coś wiącej dodać: książka ta nie tylko jest pięknym opisaniem przyrody, ale zarazem wychowuje myśliwego i uszlachetnia go. Autor określa łowiectwo tymi słowy:

„Myślistwo i polowane należy traktować albo jako zajęcie do pewnego stopna naukowe, albo jako przyjemność natury wyższej, moralnej, której oddać można lepszą cząstkę duszy tak, jak się je oddaje sztuce".

„Rok Myśliwego" jest encyklopedią wiedzy łowieckiej. Znajdujemy tam wskazania o broni i amunicji myśliwskiej, o teorii i praktyce strzelania, o odzieży, nartach, o noclegach zimowych i urządzeniu obozowiska, o kuchni na polowaniu, o psach i ich tresurze oraz o etyce myśliwskiej.

Już przed wojną wydawnictwo to było całkowicie wyczerpane, obecnie zaś stanowi ono rzadkość bibliograficzną. Nasza starsza generacja myśliwych w przeważającej swej części wymarła lub zginęła z rąk oprawców podczas wojny. Wchodzą na ich miejsce ludzie młodsi, przeważnie nieobeznani ze zwierzyną łowną, jej życiem i nawyknieniami, z zasadami prawidłowych polowań i co najważniejsze — z zasadami etyki łowieckiej. Wielu z pośród nich bez wątpienia pragnęłoby uzupełnić swoją wiedzę w dziedzinie łowiectwa, lecz nie mają źródła, z którego mogliby tę wiedzę czerpać.

Najlepszym spsobem uczczenia ćwierćwiecza „Roku Myśliwego", najcenniejszą nagrodą dla autora Wł. Korsaka, byłoby zrealizowanie drugiego wydania tego dzieła. Ale i pomimo tych względów książka ta oddałaby nieocenione usługi dla wychowania nowej generacji myśliwych i dla postawienia łowiectwa w Polsce na wysokim poziomie.

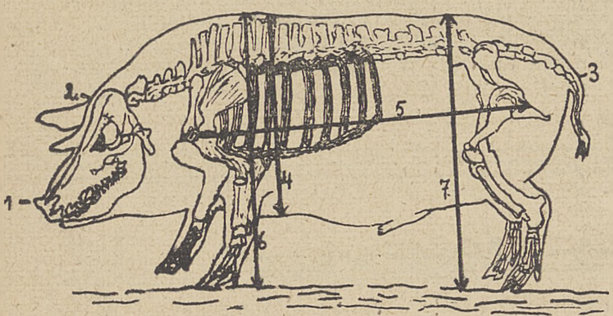
Pragnąłbym, żeby tę sprawę rozważyły naczelne władze Polskiego Związku Łowieckiego.

M. Świerzbiński

DO MYŚLIWYCH POLUJĄCYCH NA DZIKI

W Zakładzie Hodowli i Żywienia Zwierząt Domowych Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie (ul. Rakowiecka 8) są prowadzone badania nad wartością użytkową świń w związku z rasą i stanem odżywienia. Podobne badania chcianoby wykonać w celach porównawczych i na dzikach. W tym celu zwracamy się z uprzejmą prośbą do Panów Myśliwych o łaskawe przysyłanie próbek z upolowanych dzików z uwzględnieniem następujących warunków:

A. Przed poćwiartowaniem należy, o ile jest waga, dzika zważyć, tak samo i po oczyszczeniu (waga netto bez podrobów):



Zmierzyć metrem (sznurkiem, który później przyłożyć do miary), długość dzika od początku (1) poprzez głowę do nasady ogona (3) patrz. rys. 1.

Długość głowy: od początku ryja (1) do zakończenia głowy (2).

Długość uszu: od środka zewnętrznej strony ucha do jego końca.

Obwód dzika: zmierzyć taśmą poza łopatkami (4).

Długość skośna zewnętrzna: od wyrostka kruczego aż do guza kulszowego (5).

Wysokość dzika: od końca raciczek u przednich nóg po przez wyrostek łokciowy, aż do najwyższego wzniesienia na kłębie (6).

Wysokość w krzyżach: od podstawy tylnych nóg do kości krzyżowej (7).

B. Po przepołowieniu dzika:

Szerokość tuszy: zmierzyć linią w partii piersiowej (k), rys. 2.

Długość przedniej nogi: od końca raciczek do wyrostka łokciowego (d).

Długość tylnej nogi: od końca raciczek do kolca kulszowego (a).

Skośna długość wewnętrzna: od początku najwęższej części klatki piersiowej do kolca kulszowego (b).

Skośna szerokość wewnętrzna: od ostatniej nasady żebra do końca mostka (c).

C. Z rozciętej tuszy pobrać próbki w miejscach oznaczonych na rysunku 2 liczbami rzymskimi od I do IV.

Odcinek piersiowy: w miejscu najwyższego wyrostka kolczystego, będzie to trzeci lub czwarty wyrostek (I).

Odcinek lędźwiowy; w miejscu zakończenia rzekomych żeber (II).

Odcinek krzyżowy: w pierwszej części partii krzyżowej, licząc od zakończenia lędźwi (III).

Brzuch: wziąść próbkę naprzeciw wycinka w lędźwiach (IV).

Próbki mięsa i tłuszczu wyciąć na szerokość i głębokość mniej więcej trzech palców. Ze względu na niewielką warstwę tkanki łącznej tłuszczowej (zwłaszcza u sztuk chudych), tę ostatnią dokładnie nożem od skóry oddzielić. Jeśli jest to możliwe, wyciąć próbkę wraz ze skórą i włosem.

Zebrać około 100 gr sadła kiszkowego lub innego wewnętrznego.

Wycinki dobrze natrzeć solą, zawinąć każdy z osobna, aby się nie pomieszały, w nieprzemakalny, najlepiej pergaminowy papier, włożyć karteczkę z napisem, z którego miejsca próbka została pobrana.

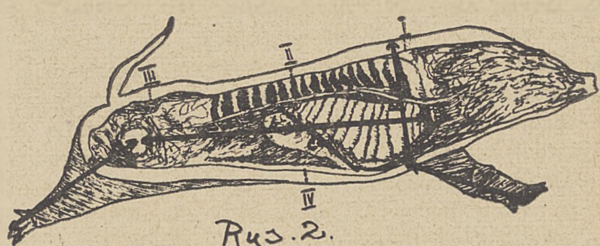
D. Dzika należy opisać, podając płeć, przypuszczalny wiek, stan odżywienia (dobry, wychudzony), obrost kiszek tłuszczem, jakość mięsa (jędrne, suche), przez kogo został zabity, kiedy i w jakiej miejscowości: powiat, województwo. Czy był to dzik przechodni, czy trzymający się stale danej miejscowości. Warunki wyżywienia dzika: tylko w lesie, wypas na polach uprawnych (ziemniaki, owies itd.). O jakości pokarmu powie nam zawartość żołądka.

Za fotografie całego i przepołowionego dzika, za zwrotem kosztów, byłby Zakład nasz b. obowiązany.

Przesyłkę szczelnie zapakowaną prosimy przesłać wraz z opisem i protokółem pomiarów według podanego adresu.

Wyniki badań zostaną ogłoszone w pismach naukowych i w „Łowcu Polskim", zaznaczając komu zawdzięcza Zakład nadesłanie materiałów badawczych.

Wymagania nasze są względnie duże i zabiorą nieco czasu, ażeby jednak opracować zagadnienie, jakieśmy sobie postawili, musimy opierać się na pewnych i dość licznych danych. Z tych więc powodów prosimy Panów Myśliwych o łaskawą współpracę i przysłanie chociażby w części zebranego przez siebie materiału. Szczególnie zależy nam na próbkach mięsa i tłuszczu.



Kierownik Zakładu

Prof. Dr Jan Rostafiński

Spis artykułów, zamieszczonych w „Łowcu Polskim" w 1947 r.

ZESZYT Nr. 1 (Styczeń — Luty):

ZESZYT Nr. 2-gi (Marzec — Kwiecień):

ZESZYT 3 (Maj — Czerwiec)

ZESZYT 4 (Lipiec — Sierpień):

ZESZYT 5 (Wrzesień — Październik):

ZESZYT 6 (Listopad — Grudzień)

Drukarnia Nr. 5 „Czytelnik", Warszawa-Praga, Targowa 82. B-42032

ZBIGNIEW KOWALSKI.

„DZIENNIK MYŚLIWSKI“

Wydana nakładem Polskiego Związku Łowieckiego pierwsza książka beletrystyczna „Dziennik myśliwski“, zawierająca 17 opowieści łowieckich Kol. Zbigniewa Kowalskiego, — których tak pochlebną ocenę pióra Włodzimierza Korsaka podaliśmy w Nr. 5-ym „Łowca Polskiego“, — oczekuje na rychły zbyt, aby z uzyskanych wpływów umożliwić podjęcie dalszej pracy wydawniczej Związku.

Aczkolwiek w tym właśnie celu „Dziennik myśliwski“ był rozesłany wszystkim Radom Wojewódzkim, to jednak widocznie nie potrafiono poinformować o tem szerszych kół członków P. Z. Ł. i dopływ pieniędzy ze sprzedaży dokonywa się powoli, odsuwając chwilę przystąpienia do nowej pracy z dziedziny łowieckiej.

Zwracamy przeto uwagę Kolegów Myśliwych, że książka Kol. Z. Kowalskiego zawierająca „wspomnienia z łowów, tych prawdziwych i rzetelnych, wprowadzających czytelnika w dawny świat myśliwski, odtwarzających, niby na ekranie obrazy przyrody i ciekawe efekty scen, ze świetnie organizowanych polowań“ — jak to ocenia świetny pisarz i wielki myśliwy Kol. Włodzimierz Korsak — znajduje się na składzie zarówno we wszystkich Radach Wojewódzkich, jak i w Centrali Związku w Warszawie, ul. Nowy Świat 35 i sprzedawana jest po cenie 350 zł. Książka zawiera 247 stron tekstu, ilustrowana jest 24 zdjęciami autora oraz Wł. Puchalskiego.

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO“

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za 1947 r. na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 400 zł, a leśnicy wszelkich stopni, funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej oraz słuchacze Wyższych Uczelni — w kwocie 200 zł — otrzymują „Łowiec Polski“ bez żadnej dopłaty.

Wobec wyczerpania nakładu Nr. 1, 2, 3, 4 i 5, członkowie P.Z.Ł., którzy opłatę uiścili po dniu 15 września otrzymywać będą pismo dopiero od Nr. 6-go, którego nakład zwiększono do 25 tys. egzemplarzy.

Dostawa pisma członkom Związku dokonywana jest za pośrednictwem Powiatowych. względnie Wojewódzkich Rad Łowieckich, które, otrzymując z Administracji „Łowca Polskiego“ ilości egzemplarzy stosownie do zgłoszonych spisów członków, przesyłają je pocztą indywidualnym adresatom. Wszelkie zmiany adresów, względnie reklamacje, powinny być przeto kierowane do właściwych Rad Powiatowych, względnie Wojewódzkich.

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na konto „Łowca Polskiego“ w P.K.O. Nr. I 1077 kwoty w stosunku 35 zł za zeszyt. Ponieważ N-ry 1—5 są już wyczerpane, za 1 pozostały do końca roku zeszyt wpłacać należy 35 zł.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie zajmujące całą stronę na okładce lub za tekstem pobiera się 10.000 zł, za 3/4 str. — 8.000 zł, za 1/2 str. — 6.000 zł, za 1/4 str. — 4.000 zł, za 1/8 str. — 2.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem — po 10 zł za wyraz. Grubym drukiem — po 20 zł za jeden wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcję Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są przesyłane bezpośrednio do Redakcji.

Wydawca: „Polski Związek Łowiecki“, Redaktor: J. Gieysztor
Warszawa, ul. Nowy Świat 35.